MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 6 WARSZAWA, 6 LUTEGO 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

POLSKI FASZYZM

Do głosu przychodzi naród. Czekał siedm lat cierpliwie na ułożenie się w państwie stosunków politycznych zgodnie z jego interesami. Daleki od metod rewolucyjnych, ufając zdrowiu organizmu, który w końcu musi przemóc niedomagania, czeka na zmianę podstaw reprezentacji parlamentarnej, lekkomyślnie u progu niepodległości uchwalonej. Polskę stać na lepszą reprezentację parlamentarną i na lepsze rządy. To, co się zrobiło za podszeptem demagogji, nie odpowiada powadze państwa i istotnym siłom umysłowym i moralnym narodu. Między społeczeństwem a wyrazicielami jego woli politycznej panuje rozdźwięk niewspółmierności. Państwo nie może być rządzone przez grupy, nie znajdujące w społeczeństwie rozumienia i zaufania. Opinji publicznej trudno pogodzić się z faktem (weźmiemy pierwszy z brzegu), że wtedy, gdy społeczeństwo ponosi niesłychane ofiary na ratowanie budżetu, pieniądza i położenia gospodarczego kraju, w rządzie zasiadają reprezentanci stronnictw, organizujących strajki w instytucjach użyteczności publicznej. Nie może ona zrozumieć, dlaczego w Lidze Narodów w interesie Polski ma orędować Żyd, tutaj w kraju skompromitowany dwuznaczną wobec interesów Polski rolą. Naród musi uważać ten stan rzeczy za kres absurdu, po za którym już tylko klęska i hańba.

Jesteśmy pełni uznania dla usiłowań stronnictw narodowych, które zrozumiały, że w tym stanie rzeczy, jaki wynikł z istniejącej konstytucji, a zwłaszcza ustawy wyborczej, jedynie w drodze kompromisu sterować można państwem, pojmujemy, że w tych warunkach rząd koalicyjny jest koniecznością, ale chodzi nam o to, żeby społeczeństwo bez względu na obozy jasno zdało sobie sprawę, że taki stan zbyt długo trwać nie może bez szkody dla Polski. Stosunek społeczeństwa do układu politycznego musi być poddany rewizji i naprawiony zgodnie z faktycznym stanem jego sił.

Nie da się przecież długo utrzymać tego stosunku, który się wyraził obecnie na tle bezrozumnego strajku w telefonach i tramwajach warszawskich. Społeczeństwo, więcej nawet — wielu pracowników, zagarniętych naganką strajkową, protestuje przeciwko domaganiom się bolszewickiej agitacji, obawiając się tylko tego, żeby rząd tej agitacji nie szedł na rękę. Dzienniki w sposób niezmiernie charakterystyczny uspokajają opinję, że magistrat i zarząd telefonów nie poddadzą się namowom rządu i strajk przełamią. Czytelnicy szukają w dziennikach potwierdzenia swego poczucia, że w Polsce jest lepiej, niżby to wnosić można było ze słabości rządu, szukają objawów zdrowia i siły, szukają oparcia w psychice narodu.

W scenach strajkowych na bruku stolicy opinja widzi dramatyczną rozgrywkę między prawdą życia a dalszemi uroszczeniami demagogji, która t. zw. „zdobycze społeczne“ warstw pracujących pragnie doprowadzić do znaku zrównania z ruiną państwa i gospodarki narodowej. Próby podboju społecznego, dokonywane przez „kombinatorów“ politycznych, znajdują swój kres, rozbijają się o zdecydowaną postawę społeczeństwa.

To byłaby strona negatywna tej postawy, ale są oznaki reakcji pozytywnej. Trudno jej nie widzieć w aktach konfederacyj, organizowanych jednocześnie w paru punktach kraju. Nie podobna dziś przepowiedzieć wyniku zamierzonych działań, w każdym razie są one wysoce znamiennym wyrazem dobrej woli społeczeństwa i jego nastrojów.

We Lwowie zawiązał się komitet propagandy pożyczki wewnętrznej w celu ratowania zagrożonej waluty polskiej pod hasłem zasilenia funduszu Banku Polskiego. Czytamy w odezwie komitetu:

> Wybujałość żądań klasowych i partyjnych wśród nas samych odbijała się, jak w zwierciadle, w działalności Izb ustawodawczych. Źle sobą rządziliśmy, źle o nas

radzono i źle nami rządzono. Dopiero w obliczu bezpośredniej ruiny posłowie nasi utworzyli rząd koalicyjny, który zasługuje na poparcie...

Ratunek jedyny w pożyczce wewnętrznej... Nie mamy pieniędzy, więc oddajemy na pożyczkę posiadane złoto, klejnoty i srebro! Poczucie obowiązku obywatelskiego i prosty instynkt zachowawczy narzuca tę konieczność...

Obywatele miasta Lwowa i województwa lwowskiego, spiesząc ojczyźnie i sobie z pomocą, postanowili oddać część swego mienia... Z ich mandatu zwracamy się... do was, rodacy, abyście się sprzymierzyli z nami do wspólnego czynu...

Tu następuje znamienne zastrzeżenie:

A że przy wszystkich pożyczkach państwowych poprzednie rządy zawiodły nasze zaufanie i wywłaszczyły nas w imię źle zrozumianego interesu państwowego z pobranych pieniędzy, przeto zrobimy zastrzeżenie: komitet utworzony z delegatów województw, zawarować musi, że ani grosza nie dajemy na deficyt skarbowy, a wszystko przeznaczamy dla Banku Polskiego; aż do chwili formalnego przejęcia wszystkich wartości przez Bank Polski czuwać będą mężowie zaufania, że pożyczka zostanie zabezpieczona na majątku Państwa.

Wnet potem odezwał się z mazowieckiego Kutna głos czcigodnego działacza narodowego, dr. Antoniego Troczewskiego, wzywający do stworzenia funduszu narodowego im. Staszica:

Do wszystkich środków i sposobów ratunku, podejmowanych, może zbyt późno, przez sejm i rząd, musi dołączyć się zbiorowy a potężny czyn całego narodu od dziecka do starca, od najuboższego wyrobnika do magnata, od najskrajniejszego prawicowca do najskrajniejszego lewicowca, o ile w nich bije serce polskie i nie zamarła dusza polska.

Ten potężny czyn narodu powinien się przejawić w dwóch kierunkach: jeden musi polegać na trwałem, nieustającem usiłowaniu poświęcenia dla Ojczyzny wytężonej pracy, ograniczania do minimum swych potrzeb, czyli do maximum posuniętej oszczędności, oraz zadowolenia się choćby przez lat parę przedmiotami rodzimej wytwórczości. Drugi kierunek naszej woli narodowej powinien być skierowany do podjęcia doraźnego, zbiorowego czynu w celu złożenia dobrowolnej powszechnej daniny na pokrycie najkonieczniejszych i najpilniejszych potrzeb państwowych.

Inicjator tej drugiej konfederacji pisze dalej:

Wierzę, że akcja, w tym kierunku należycie i powszechnie przeprowadzona, mogłaby przynieść około 1 miljarda złotych. Fundusz ten mógłby być użyty na doraźne podtrzymywanie przemysłu i rolnictwa oraz częściowo na roboty publiczne, dające pracę bezrobotnym.

Pypuszczam, że wielu z tych, którzy będą czytać ten mój projekt, ironicznie się uśmiechną i w pobłażliwości nazwą mnie warjatem, lub conajmniej bardzo naiwnym. Jestem pewny, że nie uczyni tego Naród w swych szerokich masach. Potrafili się zdobyć na taki zbiorowy czyn nie bogatsi od nas Włosi, dlaczegoż mają być gorsi Polacy? Przygotowany jestem na poważny zarzut, że w kraju jest bieda, że ludność jest nadmiernie przeciążona podatkami i tych płacić nie może (a przedewszystkiem nie ma ochoty). Zwróćmy jednak uwagę, że podatki płacimy na ręce i do rozporządzenia wciąż zmieniających się u nas rządów, do których naród, jak dotąd, nie miał zaufania, w należyte rozporządzanie funduszami państwa nie wierzył, a to bardzo ważne! Danina powszechna dobrowolna, składana na ręce ludzi, obdarzonych bezwzględnem zaufaniem, miałaby zupełnie inny charakter i jeśli takich ludzi wskażemy, znajdzie napewno żywy oddźwięk w narodzie. Sprobujmy!

Dr. Troczewski podaje zarys organizacji generalnego komitetu ratunkowego, opartego na komitetach wojewódzkich, i proponuje aby przeznaczyć w lutym r. b. tydzień lub miesiąc na zbiórkę.

Obie inicjatywy zasługują na poważne zainteresowanie. Będzie to próba sił nie tylko materjalnych. Takie poczynania organizują moralnie społeczeństwo i torują drogę naturalnemu faszyzmowi polskiemu. Doprowadzi Polskę do równowagi naród. On uzdrowi życie polityczne, kiedy zorganizuje swoje siły pod przewodem obywateli, których stać na rozumienie dobra publicznego.

Z. WASILEWSKI

O POTRZEBIE IDEI

WIELCY twórcy z epoki, tak zwanej romantycznej, nie są obecnie w łaskach. U kogo? Odpowiada się: u społeczeństwa, jakby społeczeństwo o takich rzeczach wogóle myślało! Wartoby wreszcie się przyjrzeć, dokładnie się przyjrzeć, co i jak o twórczości duchowej i o najwyższych zagadnieniach ideowych, które są niewidzialną osią wszelkiej działalności praktycznej, myśli społeczeństwo.

Wmówiono w nie. Wmówili różni ludzie, którzy w okresie małodusznego zwątpienia i przeraźliwej jałowizny duchowej narzucili się mu na doradców i przewodników, iż nie można dowierzać romantykom. Dlaczego? Bo byli marzycielami, bo uciekali od rzeczywistości, bo byli rewolucjonistami, co głosili chwałę jednostki wyższej, pozostającej w walce z ustalonym ładem kulturalno-społecznym i wogóle uznawali człowieka wyższego, jak gdyby wszyscy nie byli równi. Mimo płomiennego ujmowania się za wszystkiem, co skrzywdzone i poniżone, zwalczali oni zło, jak gdyby nie miało tego samego prawa do istnienia, co dobro. Jako wyznawcy i obrońcy dobra byli mniej lub więcej jawnymi arystokratami ducha, a precz z wszelką arystokracją! Przytem pisali tak pięknie, tak porywająco pięknie! Zaś my, demokratycznie skromni ludzie nowocześni, którzy drogą analizy przeniknęliśmy rzekomo najtajniejsze zakątki duszy ludzkiej, mamy nieufność do piękna wogóle (gdyż jest rodzoną siostrą dobra, lecz jeszcze więcej arystokratyczną), a do pięknego słowa w szczególności. Jest pułapką, gdzie można umotać się w złudzenia, utracić pod nogami twardy grunt rzeczywistości. Zachodzi jednakże nader uzasadniona obawa, iż to wynoszenie *vitae activae* nad *vita contemplativa*, świata powszedniej rzeczywistości nad świat twórczego marzenia, jest odżegnywaniem się od wszelkiej, zapładniającej idei, przejawem gnuśnego zubożenia duchowego, za którem idzie zubożenie i zanik w dziedzinie życia realnego.

Wartoby przecież jeszcze raz przyjrzeć się tym naszym romantykom, ale z nowego punktu widzenia. Byli to ludzie, co ze zgliszcz i perzyn wielkiego państwa o swoistej kulturze rolniczej i rycerskiej uratowali, co jeszcze ocalić się dało. Poza nieskażonym instynktem narodowym, pięknością języka, pewnym zasobem tradycyj

i pamięcią minionej świetności było tego niewiele. Od okresów chwały i potęgi dzieliła już ich szeroka i głęboka przepaść nieszczęścia, marnotrawstwa, poniżenia, ba, nawet spodlenia. Duchowe ich dziedzictwo było nader skąpe. Bardzo rychło zdali sobie sprawę, iż nie może wystarczyć sam ideał „kolorowego ułana", jak wyraził się Słowacki. Chcąc odbudować Polskę, trzeba było przedewszystkiem odbudować Polaka, odbudować polskie człowieczeństwo na zupełnie nowych zasadach, nie ujmując mu nic z jego właściwości rasowych, nie odzierając go z płaszcza „świetnościami dawnych przodków świetnego". Ogromna i ofiarna ich praca zmierzała do wydobycia i ustalenia nowych wartości twórczych, któreby mogły być kamieniem węgielnym odrodzonej Ojczyzny. Renesansowo prostolinijny Polak z epoki Jagiellońskiej wielceby się zdumiał, gdyby wiedział, jak ci ludzie zdobywali dla swego narodu nową treść ideową, ustalali z prometejską potęgą nowy jego stosunek do Bóstwa, do wszechczłowieczeństwa, do popędów i uczuć, powodujących jednostką ludzką, do przyjaciół, a przedewszystkiem do nieprzyjaciół. Trzeba dobrze nad tem się zastanowić, iż jak Polska Polską, dopiero romantykowi, Słowackiemu, przyszło do głowy zamyśleć się nad „potrzebą idei".

W najwspanialszym, ostatnim okresie twórczości idee jego były mistyczne. Ważki to, zaiste, powód do niedowierzania! Bo idee mistyczne rodzą się podobno z serca a nie z głowy; my zaś uznajemy tylko wartości intelektualne, jako jedynie zgodne z tem, co za rzeczywistość uważamy. Ale czy rozpatrzono już u nas należycie te idee mistyczne Słowackiego?...

Marzycielstwo Słowackiego nie było gnuśną kontemplacją fakira, zapatrzonego w własny pępek a tem mniej zaprzeczeniem lub spotwarzeniem życia: „Duch, ogień, młodość orla i żywa..." Jedynemi i najistotniejszemi wartościami życia są dla niego: miłość, twórczość, praca i ofiara. Czyż można wyższe zadania wskazać człowiekowi? Nie znam poety ani myśliciela, któryby tak wysoko postawił i tak bardzo uwielbił twórczość, jako zasadę i imperatyw istnienia...

Ale powiązał ją z majakami świata nadzmysłowego, z złudzeniami życia nietyle pozagrobowego, co kosmicznego. My, ludzie z ziemskiej ulepieni gliny, nie chcemy odrywać się od ziemi. Pójdźcież i patrzcież! Odebraliście ludziom ich „złudzenia" nadzmysłowe, a wraz z niemi odebraliście niejednemu jego jedyną wartość i jego jedyne szczęście. Wszelka wyższa kultura buduje się na wartościach, niedościgłych dla zmysłów, a często także dla intelektu. I wszelkie szlachetniejsze człowieczeństwo. Czy kiedy jaki z tych socjologów lub polityków zastanowił się nad znaczeniem podobnych „złudzeń" dla rzeczywistości narodowej i państwowej?

Szuka się już „idei polskiej" i wszystko zapowiada, iż będzie szukało się jej coraz pilniej, bo zmuszą do tego konieczności „najrealniejsze", konieczności życiowe. Nietylko życie jednostki musi mieć swój sens, ale i życie narodu. Młoda nasza niepodległość żywi się dotychczas ochłapami cudzych idej. Mimo naszej liczebności i dobrze bądź co bądź zapowiadającej się potęgi państwowej zajmujemy pod względem twórczości duchowej jedno z dalekich miejsc śród narodów europejskich. Twarde to są słowa, lecz lepiej żebyśmy je sobie powiedzieli, niż żeby powiedzieli je nam inni. W świecie ducha, w wielkiej kuźni idej, niewiele obecnie znaczymy. Ubóstwo nasze polega przedewszystkiem na tem, że nie mamy „idei", a raczej, że nie wiemy lub nie wierzymy, że idea polska już istnieje. Dali ją nam romantycy-poeci, romantycy-myśliciele. Nie lękajmy się tych słów, bo całkiem opadnie maska, przysłaniająca nasze (ach, jak nowoczesne!) barbarzyństwo. Wielki naprawdę poeta jest zawsze wielkim myślicielem. Głęboka twórczość poetycka nie jest „zabawą przyjemną i pożyteczną", jak wyobrażano sobie pod koniec XVIII w. lub jak jeszcze dzisiaj wyobrażają sobie nasi senatorowie, posłowie oraz dyrektorowie departamentu, nibyto pełniącego obowiązki Westalki przy wiecznym ogniu twórczości narodowej — dodając z głębi swego myślącego ducha zastrzeżenie, że nie jest ani przyjemną ani pożyteczną. Dante był pierwszym budowniczym niepodległej państwowości włoskiej. Mamy własną, polską ideę. Trzeba ją wszakże rozwijać, doskonalić i tchnąć jej ducha w budujące się Państwo Polskie, które bez niej będzie tylko martwym, rządzonym przypadkowością zlepkiem.

Nie wystarczał ongi ideał „kolorowego ułana", nie wystarczy obecnie szara rogatywka ani bardzo chwalebny, ale przejęty od obcych kult Nieznanego Żołnierza.

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

O UPADKU POEZJI

NATCHNIENIE, jako siła irracjonalna, jest tylko jednym z licznych czynników tworzenia, skutkiem czego samo nie wystarcza do wzrostu głębszej i doskonalszej sztuki. Należy więc uważać za szkodliwy przesąd przekonanie, jakoby artysta czy poeta wystarczał sam sobie i obywał się bez nauki. Przesąd taki szczególnie energicznie zwalczał Wilhelm Dilthey, biorąc na świadectwo dzieje poezji i sztuki:

„Estetyczna refleksja wywyższa sztukę w społeczeństwie i ożywia pracującego artystę. W takiem to ożywionem środowisku pracowali artyści greccy i renesansowi, Corneille, Racine i Moliére, Schiller i Goethe. Schillera i Goethego w okresie ich najwyższych poczynań artystycznych widzimy otoczonych zainteresowaniem estetycznie rozbudzonego społeczeństwa, krytyką, debatą, estetycznym sądem". *(Die Einbildungskraft des Dichters).* Śmiem twierdzić, że szczególnego współdziałania teorji i krytyki wymaga przedewszystkiem sztuka poetycka. W obecnej chwili potrzebne to jest zarówno w interesie poetów, jak i publiczności. Technika poetycka jest pozornie najłatwiejsza, a pozór ten wielu uwodzi, którzy swą łatwość wierszowania poczytują za prawdziwy dar Boży. Nigdy więc może nie było w Polsce tylu grafomanów, co dzisiaj. Są wierszokleci, którzy mają za sobą po dziesięć tomów, ozdobnie wydanych, a pozbawionych krzty ducha poetyckiego. W tej powodzi wierszoróbstwa nie orjentuje się czytelnik, a natrafiwszy raz, drugi i trzeci na plewę, wzrusza ramionami i przestaje interesować się nudą i głupotą, szumnie nazywaną poezją. Czyż więc który z obecnych poetów może się poszczycić taką wziętością, jaką się kiedyś cieszył choćby Tetmajer? Szerszy ogół poezją się nie zajmuje, kwitnie ona jedynie w kółkach i kółeczkach, gdzie uprawia się sztuczny entuzjazm i wzajemną adorację. Tak więc, dzisiejsi, we własnem przekonaniu bardzo rewolucyjni poeci, dziwnie przypominają warszawskich klasyków z przed stu lat.

Ograniczę się do wytknięcia jednego niedostatku dzisiejszego wierszowania. Poezja główną swą moc sugestywną zawdzięcza muzykalności. Tymczasem na każdym kroku można stwierdzić, że publikują wiersze ludzie, zupełnie tej muzykalności pozbawieni. Krytyczną ocenę utrudniają po części podręczniki, poświęcone teorji wierszowania. W podręcznikach tych analizuje się stale pojedyńcze wiersze. Tymczasem czemś żywem i zasadni-

czem jest strofa. Zwróciłem na to uwagę w swej książce p. t. „Studja estetyczno-literackie“, wykazując, że melodyjność poezji tkwi w zgraniu i zlaniu się wierszy w strofie tak, by fale rytmiczne poszczególnych wierszy wspierały się i tworzyły jedną, żywą całość. O ile wiem, zagadnieniem tem, przezemnie poruszonem, zresztą bez pretensji gruntownego wyczerpania, zainteresował się jedynie prof. Pigoń. Świeżo taki sam pogląd spotkałem u Alfreda Poizat, który pisze:

„Z drugiej strony pamiętać należy, iż pojedyńczego wiersza trzynastozgłoskowego nie można traktować w odosobnieniu. Jego wewnętrzna budowa zależy od wierszy, co go poprzedziły i co po nim następują i tylko pośród nich ma on swe stanowisko i określoną rolę. Rządzi nim i określa go cała fraza muzyczna lub logiczna. To też głupstwem jest mówić o pięknych wierszach samych w sobie i tworzyć je, jakby miałyby oddzielone od całości, do której należą“. *(Le symbolisme, Paris 1924*, str. 170).

Ten fakt, że wiersz nie może stanowić zamkniętej w sobie całości, ma swe uzasadnienie psychologiczne. Poezja prawdziwa, jako owoc natchnienia, intensywnych uczuć i rozpędu wyobrażeń, musi się rodzić w większych całościach, musi żyć w głowie poety conajmniej strofami, a nie kapać wiersz po wierszu.

Otóż ogłaszane u nas ostatnio produkcje pseudopoetyckie składają się właśnie z takich wierszy kapanych, jak kropla po kropli. Dla przykładu zacytuję pierwszy z brzegu wiersz, ogłoszony niedawno w „Wiadomościach Literackich“, gdzie można równocześnie oglądać oblicze nowego rymotwórcy:

„Morze się wzdyma jak błękitna blacha,
Przybita słabo do sinej płaskości,
A biały żagiel, jak gołąb na dachu,
Rozwija skrzydła w trzepoczący pościg“.

Każdy z wierszy tej strofy jest zupełnie obojętny dla drugiego, nawzajam na siebie nie wpływają, nie urodziły się z jednej i tej samej matki, ale przypadkiem, czy kaprysem autora, zostały postawione obok siebie. Są one, jak czterej muzykanci, z których każdy gra dla siebie. Jeśli więc niema tu ani krzty muzykalności, w czem szukać poezji? Pozostałoby chyba rzekomo dowcipne porównanie falującego morza do dachu z gołębiami. Ale to właśnie dawno pogrzebany przesąd pseudoklasyków, że przetłumaczenie byle jakiej treści na porównania, peryfrazy i inne figury retoryczne stanowi poezję. Na takiem stanowisku stał u nas aż Samuel Twardowski, gdy w ten sposób określał trzymiesięczny przeciąg czasu:

Już po trzykroć słonecznych dostawa promieni
Złota Febe i szczupłą w zupełną twarz mieni.

Niektórzy nowocześni śpiewacy przypominają najgorsze czasy upadku i zepsucia smaku, siląc się na oryginalność i gardząc rzetelną kulturą estetyczną.

HENRYK ŻYCZYŃSKI

MOTYW PRZYRODY W POEZJI ANGIELSKIEJ

(Ze szczególnem uwzględnieniem Byrona)

IV

JEŻELI w poetyckich wylewach, czy w osobistych, w pieśń nie zaklętych wynurzeniach mogą, mimo wszystko, razić uszy niekrytycznego słuchacza jakieś rozdźwięki, to rozdźwięki te milkną bez zastrzeżeń z tą chwilą, gdy poeta, uciekając od ludzi, ujrzał się sam na sam w obliczu Przyrody, uważanej przezeń za najlepszą z matek, a której „syn jej nieodłączny, szukał zwłaszcza wówczas, gdy los z niego szydził“.

Samotność nie była dla niego samotnością, gdy siadywał po skałach, gdy nad przepaściami pogrążał się w zadumie, gdy w ciemne zaszywał się bory, gdy na niedostępne piął się szczyty, gdy z nad urwisk rwącym przypatrywał się potokom. Pod wpływem tych wszystkich zjawisk Przyrody w lirykach jego, w epiljach, a zwłaszcza w „Child-Harold'zie“ przebija się żywe, gorące, melodyjne strofy rozpierające przekonanie, że przyjaciół powinien szukać tam, gdzie ku niebu piętrzą się wierzchołki gór, że ojczyzna jego jest tam, gdzie grzmią oceany, że duch jego ma prawo w nieokiełznanej swobodzie bujać po obłokach, że druhami jego są pustynie, lasy, pieczary i fale, że mowa ich słodsza jest, niż „dźwięk mowy ojczystej, zgromadzony w księgach“.

Jak kapłan chaldejski śledził gromady gwiazd, przestworza zaludniał lśnistemi, z wyobraźni wysnutemi bytami, w panteistycznym zachwycie zwracał się do niebiosów, turni, rzek i jezior, do nocy, wichrów, grzmotów i błyskawic. Zwracał się do swej duszy, która to wszystko zrozumieć umie; wołał że, dzięki tym tworom Przyrody, czuwać umieją jego oczy:

„Ale powiedzcie — mówi dalej — gdzie wasze granice? Czyście, jak burza, co człeka rozpiera? Czy lot wasz, jak lot orłów do gniazda dociera?... Gdybym, co we mnie największego gości, mógł odziać w ciało i wyrzucić z łona, gdybym dla myśli, uczuć, namiętności, dla serca, duszy—silna czy zwątlona — gdybym dla tego, k'czemu dąży ona, co znosi, czuje, zną, a przecież żyje, miał jedno słowo „piorun“—myśl, zrodzona we mnie, byłaby jak ten grom, co bije, i ja nie byłbym mieczem, który pochwa kryje“.

I oto macie stancę, w której odzwierciadla się inny, z obcowaniem i zrozumieniem Przyrody ogranicznie związany, nietylko u Byrona, ale wogóle w całej nowoczesnej, prawdziwej poezji powszechnie panujący motyw nieskończoności, która, rzecz prosta, staje się równoznacznikiem wieczystości, nieśmiertelności. Uczucie to, nieprzystępne jedynie dla ludzi, którzy w najpłytszym ze wszystkich, materjalistycznym poglądzie na świat, widzą i uznają tylko zjawiska, przystępne ich oczom, uszom i dotykowi, wyraził Byron daleko silniej w słynnych zwrotkach „Rycerza Harolda“, malujących noc, spędzoną w Alpach i to w słowach, które pod względem ideowym są poniekąd również echem wypowiedzeń Rousseauowskich.

Powiada Rousseau, że na widok świata ogarnia jego zmysły jakaś słodka, a głęboka zaduma, że w rozkosznym szale gubi się w nieskończonym ogromie tego systemu świata, z którym się utożsamia, że wszystkie przedmioty poszczególne giną mu z oczu, a on widzi i czuje wszystko, tylko zlane w całość. Spostrzeżenie to zamknął Byron w obraz nierównie silniejszy, obraz, w którym motyw nieskończoności łączy się z motywem samotności, wobec cudów Przyrody przestającej, jak powtarzam, być samotnością. Rozściela się niebo przed nim, lecz „nie śpiące“ — raczej zatopione w ciszę, podobne do człowieka, który w milczących zatapia się myślach. Mimo snu, w który spowiły się zjawiska Przyrody, zjawiska te najgłębszem oddychają życiem, bo każde z nich jest cząstką bytu... Patrzącego na ten krajobraz poetę ogarnia owo uczucie nieskończoności, do wnętrza jego oczyszczająca schodzi Prawda, przenika go dźwięk, dusza jeziora, źródło muzyki, dającej poznanie wielkiej harmonji: ogarnia, jak urok, przed którym pierzcha cień śmierci...

Rousseau, na ogół wziąwszy, szukał w Przyrodzie uczuć pogodnych, spokojnych; na widok jej mógł stwierdzać z weselem, że myśli jego przybierają charakter podniosłej wielkości, że charakter ten zgadza się z przedmiotami, które uderzają nam oko: w świecie alpejskim pa-

nuje dla niego jakaś rozkosz, daleka od wszelkiej cierpkości, wszelkiej namiętności. Zdawało mu się, że w miarę, jak się oddalamy od mieszkań ludzkich, dusza nasza pozostawia za sobą wszelkie uczucia poziome. Zdawało mu się, że ta dusza w miarę, jak się do tych powietrznych zbliżała przetworów, wchłaniała w siebie coś z ich nadmiernej czystości. Byrona nęcił przedewszystkiem ogrom kształtów, posępną owianych grozą, gdyż kształty te odpowiadały najbardziej jego tytanicznej, buntowniczej, posępnej duszy. Z tworów Przyrody, jako prawdziwy Anglik, najbardziej ukochał morze, bezmierny i bezdenny ocean, w poezji jego, jako motyw liryczny, zajmujący znów jedno z miejsc naczelnych.

Uważając siebie za krzew, oderwany od skał i porzucony na piany, z rozkoszą witał ryk fal i losy swe oddawał w ręce burzy, z rozkoszą patrzał, jak gięły się maszty, jak wicher żagle rozdzierał na szmaty, z niesłychanym też entuzjazmem zwracał się do Oceanu, który nietylko był mu symbolem nieskończoności i żywiołowej potęgi, nietylko tronem niewidzialnego, pierwowzorem wieczności, ale także symbolem s w o b o d y. Nie mogą złupić go ręce człowieka, on z nich szydzi, on szydzi z tej siły ludzkiej, która ujarzmia ziemię i jej mieszkańców. Pancerniki, gromadami bijące w twierdze skaliste, są jego zabawką: najrozmaitsze ludy zginęły bez śladu z nad jego brzegów, a on, Ocean, jednakowe zawsze posiada oblicze, zawsze jest nieokiełznany, zawsze niezniszczalny. To poczucie, czy żądza wolności, której symbolem było dla Byrona, jak powiadam, najbardziej nęcące, najwspanialsze dla niego zjawisko twórczej Przyrody, Ocean, nabiera przecież w jego patrzeniu uczuciowem tak rozległej i tak równocześnie różnorodnej skali, że wyrządziłbym mu krzywdę, zbywając je tutaj kilkoma krótkiemi uwagami. Przejdę więc nad niem do porządku i powiem odrazu, że psyche twórcy takiego, jak Byron, zbyt była złożona, mimo całego demonizmu, zbyt wiele ludzkich posiadała pierwiastków, ażeby mogła zawsze i wszędzie na takim górnym stać poziomie. Wrażliwość jego była zbyt wielka, ażeby nie mogła odczuwać i tego, co w Przyrodzie jest jasnością i ciszą.

Podobnych motywów mamy w lirykach jego dostateczną ilość, nastręczyły mu ich zwłaszcza Włochy, gdzie, jak mówi, nawet chwasty są piękne, nawet ugory bogatsze, niż w innych częściach ziemi najurodzajniejsze zagony. I te krajobrazy łagodne, przestrzenne, skąpane w blaskach słońca lub księżycowem oblane światłem, są w swoim rodzaju jedyne. W każdym razie przed Byronem poezja im równych wykazać nie umie. Księżyc już zeszedł, — powiada w jednym z nich — choć w morzu ostatnich promieni zachodzącego słońca żagwią się jeszcze wirchy Alp friulskich, — z niebiosów, zestrzelających wszystkie te blaski w cudowną tęczę Zachodu, schodzi dzień, ażeby ledz na pościeli w i e c z n o ś c i. I znowu podkreślam ostatni ten wyraz, bo jest on znowu dowodem, jak dusza poety niezadowalając się choćby najpiękniejszemi kształtami, czy barwami obrazów, nasuwających się wrażliwej źrenicy, wybiega po za ramy obrazów, gubi się w nieograniczonej sferze pojęć oderwanych, dotyka skrzydłami swemi pierwiastka niepoznawalnego, nieskończonego, pierwiastka leżącego nie w obrębie wrażeń zmysłowych, lecz w obrębie uczuć...

Epik zadowoliłby się czystem utrwaleniem na płótnie, czy w wierszu, rzeczy widzianych. Dla twórców subjektywistycznych, to znaczy mających w sobie przewagę pierwiastków lirycznych, takie czysto zewnętrzne, choćby i dla oka najpiękniejsze utrwalenie wystarczyć nie może. Szukają oni jeszcze czegoś, co leży poza ich zmysłami i w ten sposób wspaniały, choć nieuchwytny, powiedziałbym m u z y c z n y, stwarzają nastrój. Słyszeliśmy już, jak pod wpływem Shelleya, dusza poety, obserwująca zjawiska Przyrody, zlewała się z jej bytami. Najintensywniejszych motywów pod tym względem dostarczyły Byronowi widziadła poszarpanych szczytów górskich, zatopionych w mroku burzy, jednakże panteistyczne emanacje te znajdowały źródło i w obrazach spokojnych. Klasycznem tego dowodem jest słynna zwrotka z „Wędrówek Rycerza Harolda", o którą potrąciłem już poprzednio:

„Niebo i ziemia ciche, lecz nie śpiące,
Bez tchu, jak człowiek nadmiernie wzruszony,
Jak on, gdy w myślach zatopion, milczące;
Niebo i ziemia, ciche gwiazd miljony,
Turnie nadbrzeżne i Leman uśpiony,
Wszystko to życiem jaknajgłębszem dyszy:
Tu każdy promyk, powiew, liść zielony
Jest cząstką bytu: człek w nich moc tę słyszy
Co Stwórcą jest wszystkiego i panem tej ciszy"...

Podobnie piękny, choć nieco odmienny, o obserwacji malarskiej jeszcze lepiej świadczący obraz mamy w wieczorze nad rzeką Brentą, obraz, który również nie jest dziełem epika, lecz liryka, obraz złączony z innym znowu motywem abstrakcyjnym, mianowicie z m o t y w e m ś m i e r c i.

Mamy tu, jeżeli idzie o stronę malarską, doskonałe zlewanie się barw: „niebo błękitne i toń wody błękitna i purpury zachodu, jak purpura świeżo rozwiniętej róży płyną razem z kryształowemi falami rzeki i to niebo — mówi poeta — schodzi zdala i oblicze kąpie w tej głębi i zlewa ją ogniem słońce, razem z gwiazdą towarzyszącą księżyca, sieje naokół przemnogie, tajemnicze barwy. Powoli barwy te się przyciemniają, mrok okrywa góry swym płaszczem, dzień kona, jak delfin, który, gdy śmierć się do niego zbliża, coraz to inne przybiera kolory, a potem zgasł ostatni już kolor i wszystko ginie w czeluściach nocy. — Malowidło takie uchodziłoby za arcydzieło i u największych realistów-epików. Posiada ono przecież nie sam tylko urok zewnętrzny. Wprowadzając w nie motyw konającego delfina, m o t y w ś m i e r c i, motyw w nowożytnej liryce tak przemożną odgrywający rolę, poeta ramy obrazu swego rozszerzył, stworzył nastrój rozszerzający odrazu i nasz punkt widzenia.

Obrazy przyrody stapiał Byron nie tylko z własnemi przeżyciami, ale także z p r z e ż y c i a m i d z i e j o w e m i. Cudowne widziadło wychylającej się z morza Wenecji przywodzi mu na myśl dawną jej potęgę; ta jej potęga utracona budzi w nim rozważania na temat wszechwładnej twórczości artystycznej; malowidło Rzymu przesuwa mu przed oczami wielkie postacie jego zwycięzców; — obraz jeziora Trasymeńskiego łączy go z wizją Hannibala i pobitych przezeń wojsk Flaminjusza.

Obraz ten jest jednem z najdobitniejszych świadectw, jak uczucie grozy miesza się w duszy poety z nieustannem pragnieniem spokoju i ciszy, jak ta żądza ciszy w formalną rozpływa się idyllę. A jeżeli idzie o m o t y w s i e l a n k o w y w pejzażu poetyckim, to tutaj właśnie okazał Byron mistrzostwo, jakiego mało kto dosięgnąć potrafi. Notując w duszy swej ów dzień historyczny, w którym wódz Kartaginy złamał potęgę Rzymu, uciekając się w malowaniu tego dnia do obrazu wiatru halnego, kładącego pokotem lasy całe, zestawiwszy nienawiść walczących z sobą szeregów ze ślepym orkanem, który rzeź tylko widział, a nie pozwolił odczuć nawet trzesienia ziemi; powiedziawszy, iż dzięki temu ślepemu orkanowi zamarło w sercach bojowników nawet prawo natury, przestrach, — zdobywa się znowu poeta na środki malarskie, stwarzające subtelną nadzwyczaj sielankę i to s i e l a n k ę grecką. W kryształowych wodach rzeki Klitumna kąpią się nimfy. Po kwietnych brzegach przechadza się byk mleczno-biały. Z poza brzegów wyłania się jakaś świątynia, na powierzchni jeziora czasem i zaplusnie jakaś ryba, przed oczami widza przewinie się czasem kwiat wodnej lilji.

JAN KASPROWICZ

J. W. Goethe

F A U S T

(FRAGMENT)

FAUST (*sam*): Dałeś mi wszystko, o Duchu potężny,
O co prosiłem. W tajemne ogniska
Wzrok skierowałeś, wzrok mój niebosiężny,
I tam ujrzałem cud przyrody zblizka;
I panowanie dałeś mi nad światem,
Poczucie siły, poczucie użycia,
Iż mogłem stać się powiernikiem, bratem,
I słyszeć bicie serca w piersi życia!
Szeregom przemian nakazałeś oto,
Aby przed wzrokiem mym przeszły w pochodzie
I pozwoliłeś, bym ducha tęsknotą
Poznał mych bliźnich w krzach, ogniu i wodzie...
A jeśli burza uderzy szalona
O rozjęczoną, czarną lasu ścianę,
Jeśli grom runie w kłąb zbitego łona
I strzaska dębu gałęzie rozwiane,
A on, w upadku niezbłagany, srogi
Obala, w wichrów zaplątany chórze,
Drzewa bliźniacze w dno śmiertelnej trwogi,
A echo huku góra rzuci górze —
I idzie jęk ten, to burzy zwołanie
Przez ziemię całą w wieczności otchłanie:
Wtedy mnie wiedziesz w cichych jaskiń łono
I każesz spojrzeć w swoje własne lice
I własną duszę poznać nieskończoną,
Jej ból i radość, sny i tajemnice,
Wtedy przed okiem mojem księżyc wstaje,
Ziemię okrywa kojącą poświatą
I ożywają przeszłości rozstaje,
Drzwi otwierają się ku wszystkim światom.
Mrok ócz umarłych kirem nie zasłania
W wielkiej godzinie myśli i poznania.

A jednak baśnią ludzka doskonałość,
Widzę to jasno w tej chwili upojnej,
Gdyś mi dał boskie dojrzenie i źrałość
I wraz pchnął w lęku odmęt niespokojny.

Za towarzysza i za powiernika
Wieczną ironję mam, wyrzut sumienia,
Co zimnym wzrokiem czyny me przenika
I twe owoce w szary popiół zmienia
On to czarami z pamięci wyłania
Postać, barwioną marzeniami skrycie...
Tak żyje w kręgu wiecznego wahania:
Żądza mnie spala i kusi użycie.

MEFISTO: ...Miły towarzysz z ciebie, bracie,
Wciąż strzec się trzeba, stać na czacie,
Co cię ucieszy, co zamroczy,
Jak pies, trza patrzeć w pańskie oczy.

FAUST: Oto właściwy tenor mowy!
Mamże dziękować za udręki?

MEFISTO: Cóżbyś ty, synu mój globowy,
Bez mej pomocnej robił ręki?
...A waść się teraz w norze chowa,
Jak gacek, lelek albo sowa,
Mchem i pleśniami karmi ducha,
Jak gad obmierzły, lub ropucha.
Ach, pozazdrościć cnej osobie:
Wciąż doktór pokutuje w tobie.

FAUST: Gdybyś zrozumiał, jakie siły
Z mej samotności się zrodziły,
Gniew by się imał djablej mości
I pozieleniałbyś z zazdrości.

MEFISTO: O wielkie szczęście, nadświatowe!
Na rośnej nocy złożyć głowę
Ziemię i niebo wziąć w ramiona
I u Bożego spocząć łona,
Miąższ ziemi przeczuć nieświadomie...
Dni genezyjskich w ich ogromie,
Użyć w poczuciu sił, w ich dumie,
Lecz co? Sam dobrze nie zrozumie...
Znika syn ziemi w sił rozmachu,
A potem intuicji gmachu

(Gest niechlujny)

Jak, już nie powiem, zamknąć drzwi!

FAUST: Precz, obrzydliwcze!

MEFISTO: A, niedogadza ci? — w tem rzecz!
Tak, bardzo słusznie mówisz „precz"!
Często cnotliwe uszka parzy,
O czem cnotliwe serce marzy.
...Lecz dosyć! — Luba twa panienka
Samotnie, smętnie spędza czas
I wypatruje u okienka
Czyli nie zoczy was.
Najpierw twa miłość tak wezbrała,
Jak wiosną zalew rzek,
Gdy lubą siła fal porwała,
Strumyczek zmalał, suchy brzeg...
Zamiast królować tutaj w lesie,
Raczej ukoić tęskny żar!
Niech wielki pan w jej domek wniesie
Miłosny, wdzięczny dar.
Biedactwo małe! Liczy chmury,
Jedna za drugą w dale mknie, —
Tam, poza smutne miejskie mury...
Samotne noce... puste dnie...
I jeno śpiew ten: „gdyby ptaszkiem,
Skrzydlatym ptaszkiem chwilę być!" —
Snuje się pod gontowym daszkiem,
By się z powrotem w sercu skryć!
Dzień jeden — w nagłym zweseleniu,
Dzień drugi — deszczem łez owiany,
Dzień trzeci — w głuchem drżeniu!
A każdy tobą rozkochany!!

FAUST: Żmijo podstępna!

MEFISTO: Już w potrzasku!

FAUST: Przeklęty! Mowa twa zbyt śmiała!
Jej imię czyste, białe...
Nie rzucaj na łup żądz jej ciała
Przed zmysły oszalałe!

MEFISTO: Nic nie rozumiem! Do tej chwili
Ona jest pewna, żeś ją rzucił.
Sądzę, że zbytnio się nie myli,
Nie wierzę, żebyś wrócił!

FAUST: Z nią jestem myślą rozkochaną,
Bez niej mi ziemia pusta,
Zazdroszczę Chrystusowym ranom
Które całują jej usta.

MEFISTO: Zazdrość mnie gryzła w swoim czasie, —
— Tak, mówiąc między nami, —
O parę jagniąt, co się pasie
Pod wonnych róż pąkami.

FAUST: Rajfurze!

MEFISTO: Wyzywasz? Ja się śmieję:
Bóg, tworząc płci osobność
Musiał im przecież dać nadzieję,
Więc stworzył i — sposobność.
A teraz chodźmy. Bądź radosny!
Wesoły wzrok i głos!
Masz do komnatki iść miłosnej,
A przecież nie na stos!

FAUST: W słodkich ramionach radość wieczna!
Jej pierś ogrzeje mnie słoneczna
Niedolę jej i dolę znam...
Jestem wędrowcem i banitą,
Co w parną noc niesamowitą
U zatrzaśniętych stoi bram.
Jak strumień burzą rozszalały,
Mknąłem przez góry, bory, skały,
W przepaści straszne dno.
Ona w ufności Bożej stała
Na wonnej hali cicha, biała,
Niebieskie za nią tło.
Mały jej świat w tych ścianach chaty,
Lecz jakże wdziękiem przebogaty...
A ja skradałem się, jak wróg.
Sam nad otchłanią czarną wiszę,
Zabrałem spokój jej i ciszę,
Przeto mną wzgardził Bóg.
Piekło! Już znam do ciebie drogę!
Szatanie, skróć mój strach i trwogę!
Co stać się ma, niech zaraz stanie się!
Biorę na siebie los bezwiednej,
Niechaj w przepaści legniem jednej,
Los jeden jej i mnie!

MEFISTO: O, jakże wre i kipi wrzątek!
Do niej, by prędzej smutek sczezł!
Tam, gdzie dopiero jest początek,
Rozumek ludzki mówi: — kres!
Odważni żyją! Życie z nami!
Wszakżeś conieco przedjablony,
A nic głupszego na tej ziemi,
Jak djabeł zrozpaczony!

Przełożył EMIL ZEGADŁOWICZ

BALBINA

OSTATNIA PANNA RESPEKTOWA

ZAMĄŻ nie wyszła, bo i za kogo miałaby pójść? Hodowała się od maleńkości w „pałacu". Takiem mianem ochrzczono dom rozłożysty, na czterech kolumienkach wspartym ganeczkiem przyozdobiony, szesnaście sporych pokoi pod załamanym, spadzistym dachem mieszczący.

Przywieziono pannę Balbinę swojego czasu prawdziwą najtyczanką, zaprzężoną w bułane koniki. Powoził Antoluk, panny Balbiny ojca były parobek, teraz w tej samej wioseczce na kawałku ziemi gospodarz. Akuratnie w dniu oznaczonym odstawił dziewczynkę do pańskiego dworu, trochę w czeladnej izbie zabałamucił, podjadł, dał koniom wypocząć, bo dobrze owych czterdzieści wiorst popamiętały i — odjechał do siebie.

A panna Balbina została. Została na całe życie w ostatnim z pokoi „pałacowych", tym siedemnastym, który się mieścił na strychu i jedynem okienkiem z bocznej ściany dworu wyglądał ciekawie na świat. Mieszkała zrazu w towarzystwie gospodyni niemłodej, która rządy w śpiżarni sprawując, niewiele miała czasu na ceckanie się z wychowanką.

Balbinka, w pierwszych zwłaszcza czasach, czuła się obco w nieznajomym, ogromnym domu, pełnym ludzi obojętnych, dalekich. Zapłakała raz, drugi w skrytości, przypomniawszy sobie własny, rodzinny kąt: matkę w nafałdowanej spódnicy i rurkowanym czepku, tę matkę, tak dumną ze swego szlachectwa i ojca, który na codzień chodził w parcianych spodniach za pługiem, a w święto, wystrojony w podszarzałą czamarkę, zasiadał na ławce w pobliżu ołtarza i czytał z grubej, zatłuszczonej księgi półgłosem, przerywając tylko od czasu do czasu dla sprawdzenia, czy ksiądz nie przeszedł na drugą stronę ołtarza, albo poprostu — dla przetarcia okularów olbrzymią chustką, wystającą zawsze z kieszeni.

— Zapamiętaj sobie, — mawiała matka do swojej Balbinki, — żeś ty nie byle kto. Doreyszanka jesteś, z książęcej krwi, żebyś wiedziała. Nie tobie zadawać się z hołotą.

„Hołota" — byli to chłopacy wiejscy, pasący bydło na wygonach i małe, lnianowłose dziewuszki z poddartemi noskami. Zbierały one często kaczeńce po rowach i Balbinka lubiła gawędzić z niemi na wiele, wiele zajmujacych tematów, które nastręczał dzień każdy: A to krowa Bobowików przestała dawać mleko, niewiedzieć z jakiej przyczyny, a to źrebak sołtysowy zdechł, a to jastrząb w samo południe porwał kurczątko z podwórza...

Ale matka Balbiny krzywem okiem patrzyła na te konfidencje i powtarzała zawsze:

— Oni co inne, a ty co inne. Pamiętaj sobie, nie takim się z Doreyszami zadawać.

To też Balbinka „zadawała się" tylko ukradkiem. Nie rozumiała znowu tak bardzo dobrze, jaka to zasadnicza różnica dzieli ją od tych dzieciaków, które miały równie zamorusane buzie, a odzież niegorszą, czasem nawet lepszą, niż ona.

Potem — tatusiowi się zmarło. Przedwcześnie. Pochowali go na cmentarzu, pod samym murem. Doreyszyna—wdowa kazała wyryć kamieniarzowi na wielkiej płycie tak, aby każdy mógł przeczytać z łatwością: „Tu leży Telesfor Klemens Doreysza, (koniecznie przez y) z rodu swojego ostatni. Niech mu ziemia lekką będzie". Dopilnowała, aby wszystko było wykute, jak należy, kamień ułożony na grobie, grób obsadzony kępkami stokrotek, poczem sama rozchorowała się i więcej nie wstała z łóżka. Przez kilka ostatnich miesięcy nieustannie trzymała przy sobie Balbinkę, uczyła ją czytać z tej samej książki, na której zawsze modlił się tatuś, dawała jej tysiące rad na całe życie, przypominając, że Doreyszanka głowę winna trzymać wysoko i swoją godność cenić. Jesienią poczuła, że się przybliża śmierć. Wówczas poczęła przemyśliwać, jakby zapewnić przyszłość sierocie. Tego, co pozostało w spuściźnie po Telesforze-Klemensie, poprawdzie było niewiele. Poszły do ludzi dwie śliczne jałówki, nadzieja i chluba Doreyszyny. Poszła i para koników — i siedm sztuk tłustych gęsi, hodowanych z wylęgu. Wszystko pożarły wydatki, związane z chorobą. Trzeba było przez całe lato trzymać parobka, by zżął i wymłócił to, co posiał jeszcze własną ręką nieboszczyk. Trzeba było trzymać dziewczynę, by doglądała podwórka i chorej. Balbinka była jeszcze za mała na wszystko: miała zaledwie ośm lat i bardzo wązkie ramionka. Nie mogła doić krowy, (jedynej niesprzedanej) i gotować kartofli dla świń, które tuczono, umyślnie, na pogrzeb matki. Doreyszyna była przewidująca: zawczasu obmyśliła wszystko. Dopóty kazała sobie kolejno przynosić do łóżka zawartość wielkiej skrzyni drewnianej, dopóki nie przeliczyła wszystkiego, nie poskładała i nie opatrzyła uwagami w obecności sąsiadek:

— To będzie dla Balbinki, jak dorośnie. Wełniany materjał w kropeczki można przerobić za rok, bo Balbinka już wtedy ze starych sukienek wyrośnie. W brązowej sukni mnie pochowacie. Podniszczona, ale mi lepszej na tamten świat nie potrzeba, Bursztynów i korali, które na dno skrzyni włożyć kazałam, niech nikt się sprzedać nid ośmieli, chyba żeby sierota w ostatniej była potrzebie. Zapamiątajcie sobie wszystko, co mówię, bo to jest wola moja ostatnia.

W połowie września wysłała wdowa gruby list, który przez kilka dni pisała powoli, z namysłem, odpoczywając i sapiąc. List zawiózł chłopak, udający się do miasteczka na odpust. Stamtąd miał go odesłać dalej Żyd znajomy. Po dziesięciu dniach oczekiwania, Doreyszyna poczęła zdradzać niepokój. Kilka razy dziennie dopytywała się, czy nie przyjechał posłaniec z listem do niej. Słysząc odpowiedź przeczącą, załamała ręce, a potem, chwytając głowę Balbinki i tuląc, szeptała z rozpaczą:

— I co ja z tobą zrobię teraz, co?

Czternastego dnia przyniesiono list w dużej kopercie z siedmiopałkową koroną. Doreyszyna obracała go w rękach długo, nim odważyła się otworzyć. Na twarzy jej rozgorzały silne rumieńce. Wyglądała, jak za najlepszych dni: miała błyszczące oczy i uśmiech istoty bardzo szczęśliwej. Wreszcie — ostrożnie rozcięła kopertę. Wypadł arkusik cieniutkiego papieru, zapisanego drobnym maczkiem. Nie mogła sama przeczytać, gdyż pismo było niezbyt wyraźne. Ale tego samego dnia przybył organista; jemu to przypadło w udziele odcyfrować głośno i dobitnie szereg równiuteńkich linijek:

„...Chętnie się zgadzam, moja Rozalko droga, — pisała mleczna siostra umierającej — na twe projekta i obiecuję ci zaopiekować się dziewczynką, jak trzecią córką"...

Dalej była wyrażona nadzieja, że Bóg Miłosierny nie odwoła przedwcześnie swej wiernej sługi, że pozwoli jej może wychować jedynaczkę. Następowały życzenia powrotu do zdrowia i pożegnania, o ile chora opuści ten świat za wolą Najwyższego... Ale to już nie obchodziło wdowy. Grunt, że w przypisku powtórzona była raz jeszcze obietnica: Balbinka otrzyma wychowanie i ukształcenie we dworze, a serc życzliwych jej nie zabraknie...

Wtedy Doreyszyna siadła na łóżku, z którego nie podnosiła się już od kilku tygodni. Podniosła ręce ku niebu i poczęła szeptać modlitwę dziękczynną.

We dwa tygodnie później — Antoluk wjeżdżał w bramę „pałacowego" dziedzińca, a na wózku, między drewnianą skrzynią i tobołem z pościelą, siedziała panna Balbina Doreyszanka, przyszła wychowanica samej dziedziczki...

. . . .

Balbina miała kapitalik, stanowiący jej osobistą własność. Powstał on ze sprzedaży kawałka rodzicielskiej ziemi i resztek inwentarza, a urósł, z biegiem płynących lat, do krągłej sumki trzech tysięcy rubli. Suma ta umieszczona została na hipotece majątku, procenty zaś dopisywano corocznie do kapitału. Ilekroć Balbina zebrała się na odwagę, by dobrodzieja pana dziedzica o swoją „rentę" zagadnąć, ten ostatni, jakby przeczuciem wiedziony, wszczynał przy stole rozmowę na temat niedoborów, ciężkich czasów, wszystkich plag, jakie nawiedziły majątek w tym roku. Uskarżał się na mnogość podatków, na nieurodzaj, na złodziejstwo, szerzące się wśród służby folwarcznej. Pani dziedziczka mitygowała go potrosze, dwie dorosłe córki krzywiły ładne buzie na myśl, ze liczne projekty karnawałowe ulegną zwłoce ze względów oszczędnościowych, a Balbina rozważała pocichu, że w takiej chwili, co jak co, ale turbować dobroczyńcę i opiekuna swojemi pieniężnymi sprawami — byłoby szczytem egoizmu.

Zresztą — czegoż jej brakło właściwie? Jako panna respektowa samej dziedziczki miała dach (nieco przeciekający) nad głową i miejsce przy pańskim stole. W chwilach dobrego humoru, pani domu obdarzała ją jedną ze swych znoszonych sukien, ktora wycerowana, odprasowana i dopasowana do talji, (panna Balbina miała bardzo drobną figurkę) wyglądała jeszcze zupełnie przyzwoicie. Również w chwilach dobrego humoru zwykła mawiać dziedziczka:

— Poczekaj, moja Balbińciu, wydam cię za mąż, niechno się tylko znajdzie ktoś odpowiedni.

Ale ktoś odpowiedni nie znajdował się, a lata mijały. Wyszły za mąż obie córki domu, ożenił się syn; potem— umarła opiekunka... Panna respektowa wylała wiele szczerych łez na jej mogiłę.

Dzieci młodego dziedzica rosły — i one z kolei mówiły „Balbińciu" do starzejącej się powoli, lecz nieustannie, rezydentki. Panienki podrastały, były już niemal pannami na wydaniu, a w pałacu poczęli się pojawiać młodzi ludzie, reflektanci na mężów. Sama dziedziczka przyjmowała ich w dużym salonie, pełnym złoconych sprzętów, a Balbińcia krzątała się w kredensie, otwierała i zamykała szafy skrzypiące, wzdychając potajemnie: Gdybyż i dla niej wreszcie znalazł się ktoś, ktoś odpowiedni!...

— Wiesz co Balbińciu? Musimy wydać cię za mąż! — mawiały dorosłe już panienki i uśmiechały się filuternie, ale dyskretnie.

W owej epoce panna Balbina Doreyszanka zaczęła zakręcać włosy na papiloty i delikatnie podczerniać brwi. Stojąc w swym pokoiku na strychu, wykręcała się w prawo i w lewo przed małem, obtłuczonem lusterkiem, zawiązywała na szyi wstążeczki przeróżnych odcieni, badając w jakim kolorze jest jej najbardziej „do twarzy". Rankami wdziewała kokieteryjne czepeczki z mnóstwem kokardek i wymykała się do ogrodu... Idąc szeroką aleją, wysadzaną kasztanami, które porosły w jej oczach, marzyła sobie ślicznie o chwili, gdy zjawi się wreszcie ów ktoś — ktoś miły i zdawna oczekiwany, ktoś o d p o w i e d n i dla niej, to znaczy z nazwiskiem i pozycją w świecie. Za byle kogo przecież nie pójdzie, ona, Doreyszanka (przez y!) ostatnia potomkini starego, kniaziowskiego rodu.

Z biegiem lat panna Balbina nauczyła się cenić swą godność. Im dłużej siedziała na szarym końcu przy stole wielkopańskiej rodziny, im więcej zniszczyła starych, wybrakowanych sukien dziedziczki, tem silniej czuła, że nie jest byle kim: patrzyła z góry i pogardliwie na gospodynie, które zmieniały się we dworze prawie tak często, jak guwernantki młodych panienek. Wobec służby przybierała zawsze ton wyższości, z prawdziwą rozkoszą wydawała rozkazy głosem surowym i oschłym, naśladując w tem samą panią domu. Służba musiała jej słuchać—to było uświęcone, tak przykazali sami dziedzice. Panna Balbina miała decydujący głos w wielu sprawach, tyczących gospodarstwa... Niestety, było też mnóstwo spraw, w których nie miała wcale głosu.

Największą jednak bolączką jej życia, bolączką, do której nie śmiała się przyznać przed nikim, był drobny, napozór nic nie znaczący fakt: oto co niedziela zajeżdżała przed ganek kareta, w której udawano się do kościoła. I co niedziela, jak rok długi, panna Balbina zajmowała miejsce na przedniej ławeczce... Dziwnie złośliwy los sprawiał, że zawsze, z a w s z e znalazł się ktoś, kto stanowiskiem swojem przewyższał pannę Balbinę. Jeżeli nawet zdarzały się wypadki, że sami państwo pozostawali w domu, wtedy licho naprowadziło jakąś ciotkę, albo kuzynkę, kogoś, komu panna Balbina musiała ustąpić miejsca... Gdy państwo całym domem wyjeżdżali zagranicę, Balbina żegnała ich z ukrytą w sercu nadzieją: Nareszcie, teraz, w najbliższą niedzielę j a s a m a pojadę do kościoła karetą, zaprzężoną w czwórkę koni, j a s a m a siądę na głównem miejscu! I zawsze... zasiadał ktoś inny. Raz— była to pani Budrewiczowa, osoba sędziwa i niezbyt majętna, która na czas nieobecności „drogich kuzynów" zjechała z całym dobytkiem i bawiła przez kilka tygodni, codziennie obmyślając najwyszukańsze „menu" na spółkę z dworskim kucharzem.

Innym razem kareta była przez dwa miesiące w naprawie. Innym znów razem... Dość, że nigdy, przez lat czterdzieści, pięćdziesiąt i więcej—panna Balbina nie doczekała spełnienia swych tajemnych pragnień.

Z biegiem czasu gorycz zaczęła wyciskać swe piętno na charakterze osoby nieskażenie poczciwej i przysłowiowo łagodnej. Dotychczas mówiono w domu:

— Słodka, jak nasza Balbisia...

Albo:

— Już ta Balbińcia, to tylko do rany przyłóż...

Albo jeszcze:

— Balbińcia, to się chyba tylko przez sen gniewa...

Teraz eks-panna respektowa miewała swoje niehumory. Nie śmiała ich wprawdzie okazywać nikomu, ale w czasach, gdy młode pokolenie, (już drugie) powyrastało i poczęło wyfruwać z gniazda, Balbinie stało się jakoś ciężko na sercu. Poczuła, że w wielkim domu coraz jej puściej, że jest pomimo natłoku osób, coraz bardziej samotna wśród domowników. Zaczęła się powoli, pocichutku usuwać z przed oczu ludzkich. Stroniła od młodych, bowiem przypominali jej młodość własną, przemarnowaną niewiedzieć kiedy i jak... Stroniła od starych, bo w bruzdach ich zmarszczek, w wyblakłości ich oczu widziała swą własną podobiznę, której już żaden puder i barwiczka odświeżyć nie mogły; w siwiźnie ich włosów widziała własną, której nie zdołał już ukryć starannie upięty „fanszonik"... Była zawsze dla wszystkich dawną „Balbińcią", lecz rozumiała, że nie jest już tą samą Balbińcią, co dawniej, tą, która rosła ongi pospołu z pańskiemi dziećmi, a potem żegnała je czule, gdy zamieniały dom rodzicielski na własny.

(Dok. nast.) WANDA MIŁASZEWSKA

LIBERUM VETO

Główne hasło i obowiązek teraźniejszości. — Udział kobiety w wykonaniu tego nakazu. — Zamiar ministra skarbu i pretensje „platformy". — Bezradność społeczeństwa. — Ani śladu jego protestu. — Artykuły ostrzegawcze i narzekania sejmowe.

POTRZEBA oszczędności, jako środka ratowania państwa, stała się hasłem i obowiązkiem nie tylko rządu, ale również całego społeczeństwa. Bo im ono jest biedniejsze, tem więcej wymaga od władz, które niem kierują. Jeżeli urzędnik, rzemieślnik, ziemianin żyje rozrzutnie, żąda nadmiernej pensji lub zapomogi, zmuszając rząd do rozszerzania wydatków poza granice jego dochodów. Jak oszczędzał najmarnotrawniejszy z europejskich rząd polski — wiemy; ale warto się zastanowić, jak w tym względzie postępuje społeczeństwo. Na to pytanie z powodu trudności zbadania dajemy sobie tylko odpowiedź ogólną: wszyscy od warstw najniższych do najwyższych żyjemy nad stan. Są jednak pewne widoczne objawy, które pozwalają bliżej określić udział niektórych czynników w tem marnotrawstwie i uszczuplaniu bogactwa narodu.

Wiadomo, że budżet każdego gospodarstwa domowego a często i pozadomowego zależy w wysokim stopniu od kobiety — żony, matki, córki. Otóż jak w tym czasie powszechnego zubożenia, szerokiego niedostatku i najszerszej nędzy zachowuje się polska kobieta? Może nigdy nie była taką, jak dziś zbytkownicą. Popatrzmy w tłum wysypujący się z kościoła wiejskiego w święto. Zdumiewający obraz! Kobiety starsze, że tak powiem, przedwojenne, ubrane starannie, ale młodsze bez wyjątku zbytkownie. Już nie tylko córki zamożnych gospodarzów, ale nawet właścicieli kilku zagonów, wyrobników, parobków, rozmaitego rodzaju biedaków—w kapeluszach, modnych paltach i sukienkach, pajęczynowych pończochach i lakierkach. Widziałem robotnice, kopiące kartofle w rękawiczkach i jedwabnych bluzkach. Tenże sam, tylko jeszcze jaskrawszy widok w warstwie drobnomieszczańskiej. Panie i panienki z warsztatów rzemieślniczych, sklepików, najniższych urzędów, z jednoizbowych mieszkań woźnych i furmanów, usiłują dostroić się do ostatnich wymagań mody. Prawda, że te wierzchnie elegancje zdobywają się kosztem oszczędności w podartej, brudnej lub brakującej bieliźnie, że one są karykaturami stroju i tandetą materjału, ale skutkiem samej częstej zmiany przewyższają możność mężów i ojców. Cóż dopiero mówić o zbytku kobiet sfer bogatych w miastach większych a nadewszystko w stolicy! Gdybyśmy skądinąd nie znali naszej nędzy, gdybyśmy nie widzieli, że w rodzinach wielu strojnic brak często chleba i węgla, z widoku ujedwabionych, ufutrzonych, ukoronkowanych, no i umalowanych kobiet na ulicy, możnaby sądzić, że gotujemy obiady w złotych naczyniach, że jesteśmy społeczeństwem— jak Stany Zjednoczone — „pękającem od nadmiaru bogactwa". Patrząc na typową palcówkę, wystukującą litery na maszynie do pisania w biurach rządowych i prywatnych, zdawałoby się, że ona pobiera ministerjalną pensję, która pozwala jej ubierać się, jak operetkowej aktorce, posiadającej bogatych przyjaciół. A ta strojna dama musi nieraz odmówić sobie kupna kartofli, o ile, rozumie się, nie ma dochodów ubocznych lub górnych, spływających od uprzejmych zwierzchników. Gdyby można było zebrać wszystkie te kobiece zbytki, otrzymalibyśmy olbrzymią sumę, która byłaby jednym z komentarzów naszej biedy i która wykazałaby, jak smutną rolę odgrywa w niej kobieta. Tworzy ona najrozmaitsze stowarzyszenia dobroczynne, ale ani na chwilę nie pomyślała o tem, ażeby zorganizowanem staraniem powstrzymać szalony rozpęd marnotrawczy. Podczas niewoli była bohaterką, kapłanką, nauczycielką cnót i skromności; w Polsce niepodległej jest znowu taką, jaką była przy jej przejściu w niewolę przed stu kilkudziesięciu laty.

Nie dziwcie się czytelnicy, że tak często powracam do sprawy oszczędności, bo pod nią kryje się grób państwa polskiego. Bodaj byśmy nie przekonali się dowodnie, że to nie był przesadny przestrach. Pierwszą mowę sejmową p. Zdziechowskiego jako ministra skarbu, powitałem wraz z całą patrjotyczną masą społeczeństwa szczerym oklaskiem, wyraziłem jednak obawę, że jego towarzysze z „platformy" rządu koalicyjnego nie pozwolą mu urzeczywistnić zamierzonego planu, który pozostanie „fantastycznym poematem". Obawa ta zaczyna się już sprawdzać. Według pierwotnego projektu budżetowego, oszczędności w wydatkach miały dosięgnąć 500 miljonów złotych. Powoli jednak zaczęły się wyłaniać w prasie doniesienia o „poprawkach", zmniejszających tę sumę, z której obecnie już ubyło 300 miljonów. Ile jeszcze z niej odpadnie po obradach sejmowych, nie wiadomo, jeśli jednak nie położy się tamy rozrzutności stronnictw można przypuszczać, że cała oszczędność zniknie i powróci dwumiljardowy budżet Wł. Grabskiego, który według znawców zagranicznych jest za wielki dla Polski o 800 miljonów. Innemi słowy: będziemy dalej poddani upustom krwi aż do zupełnego wycieńczenia, po którem już nam pozostanie tylko niewola u obcych zdobywców i panów naszego życia. Zaznaczyć trzeba, że różnica między postępowaniem rządu i sejmu a opinją społeczeństwa w tej sprawie nie jest zagadnieniem, dopuszczającem odmienne rozwiązania. Niema dziś w Polsce ani jednego człowieka, najbardziej ograniczonego w znajomości spraw państwa, któryby nie umiał wskazać całego szeregu zbytecznych wydatków i roztrwonień skarbu publicznego. Są to nadużycia i zbrodnie, leżące na wierzchu, dla wszystkich widzialne. Jeżeli więc rząd i sejm nie chcą ich usunąć, to znaczy, że rząd i sejm dla dogodzenia interesom jednostkowym i partyjnym postanowiły zlekceważyć dobro i wolę narodu, który nie umie jej wyrazić z dostateczną mocą, jako bezapelacyjny nakaz.

Tak, nie umie. Społeczeństwo widzi i narzeka, że musi resztkami swego mienia opłacać próżniaków, pasorzytów, karjerowiczów, łupieżców, ale złorzeczy temu tylko w rozmowach prywatnych lub artykułach dziennikarskich. W żadnej warstwie społecznej nie widzimy masowego oburzenia, zorganizowanego protestu, objawów zgrozy i żądań zatamowania nadużyć. Wieś doprowadzona została do takiego ubóstwa, że nieraz cała nie posiada w gotówce dziesięciu złotych, a dziś już zwyczajną stopą procentową od drobnych pożyczek jest złoty d z i e n n i e. Mimo to chłopi, którzy przecie mogliby zbiorowemi uchwałami wywrzeć nacisk na rząd i sejm, dźwigają pokornie brzemię swojej nędzy i miażdżących podatków. Jeżeli zaś zjawi się między nimi agitator, to tylko po to, ażeby obłocić inną partję a wybielić swoją. A inteligencja? Jej tubą alarmową jest prasa. Czy w niej słyszeliśmy kiedykolwiek chóralne protesty przeciwko szkodnikom państwa? Ona również brzmi głosem syren partyjnych. A przecież gdyby lud zechciał i gdyby prasa zechciała, w ciągu miesiąca oczyściłaby się Sodoma naszych urzędów i izb sejmowych ze śmiecia i zarazy, Polska stanęłaby czysta, bogata i praworządna.

Daremnie oczekujemy również jakiegoś buntu przeciw złemu w sejmie. Są w nim ludzie zacni i bolejący, ale zdobywają się jedynie na gorzkie żale. Jednem z najczystszych sumień i najjaśniejszych rozumów w naszym parlamencie jest poseł Jan Zamorski, który pisuje bardzo ładne artykuły o wszystkich chorobach naszego państwa i który świeżo w *Gazecie Warszawskiej* wykazał, że z nowym, poprawionym przez partje budżetem znajdujemy

się „na pochyłości“. Przekonaliśmy się wielokrotnie, że najwymowniejsze głosy ostrzegawcze nie przebijają głuchoty stronnictw sejmowych, którym nie chodzi o Polskę, o naród, o państwo, tylko o własny interes. Wobec tego już nie wystarcza rozumowanie i dowodzenie, potrzebny jest jakiś potężny krzyk, któryby wstrząsnął społeczeństwem i powołał je do obrony swego życia. Czy nie znajdą się wreszcie w sejmie posłowie, którzyby gwałtownym wybuchem rozpaczliwego gniewu napiętnowali szacherki partyjne i odebrali im śmiałość dokonywania złych czynów? Czy ciągle słyszeć będziemy tylko krytyki, elegje i skargi jeremiaszowe? Czy ograniczymy się na wysłuchaniu i oklaskiwaniu pięknych monologów ministra skarbu, z których za kulisami śmieją się reżyserowie komedyj partyjnych? Jakże poczciwy jest ten naród polski i jak niedołężny!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

FAJKA POKOJU

STULECIE niewoli musiało w duszach polskich wielkie poczynić spustoszenia, skoro wolna Polska, jako przedstawiciela swego do Ligi Narodów posyła naprzód jednego, a teraz drugiego Żyda. Widocznie ci z nas, którzy po wielkiej wojnie zmysłem realnym widzieli Polskę, jako niegorszą od Serbji, Czech, lub Rumunji, majaczyli w malignie. Naród, który w zrzeszeniu narodów nie może się zdobyć na własne przedstawicielstwo, jest moralnym nędzarzem.

Ostatnim progiem zdrowia duchowego jest instynkt samozachowawczy. Każdemu z nas wiadomo było, że Polsce wiele jeszcze do zdrowia brakuje, ale nikomu przez myśl nie przeszło, że ona już poza ostatnim progiem się słania. Naród, który obronę swoich spraw wobec innych narodów powierza obcemu, przekroczył ostatni próg samowiedzy. Opodal leży całun śmiertelny, a nad nim krwawe widmo żałoby.

W kim bije proste serce żołnierza i obywatela, temu żałobę ducha poprzedzi jeszcze szyderczy Żyda policzek. Rząd pozbawiony rozsądku i godności, naród — samowiedzy, lecz w kraju tu i ówdzie jeszcze się błąka ten i ów, jak gorejący wśród mogił upiór dumy narodowej. To resztki wstydu w Polsce płoną samotnie. Goryczą była niewola gwałtu i przemocy, ale piekącą hańbą jest niewola dobrowolna. Tam—ciało, tu duch się rozkłada.

Niezrozumiała jest już w Polsce mowa uczuć moralnych, obywatelskich, rycerskich. Owszem — wydrwiona. Służy za togę szkarłatną na godzinę uroczystego obchodu chwały minionej. Na codzień jest mowa kupiecka. Ale i tu obłęd sumuje rachunki i budżety układa. Któryż dom handlowy jako zastępcę swoich spraw wysyła na targi światowe przedstawiciela obcego domu handlowego? Gdzie jest kupiec, któryby w tej najprostszej czynności zechciał naśladować nieszczęsne państwo polskie?

Z ministerjalnych foteli przemawia nadto mowa dyplomatyczna. Szeregiem płaszczeń się i ustępstw ma ona, jakoby, coś wygrać dla Polski. Na śliskiej tej posadzce im bardziej kto ustępuje, tem więcej przegrywa. Tu tylko buty przeciwnika, gwoździami bezczelności podkute, stoją twardo i prą przed siebie bezpiecznie. A im szerzej się kłania dyplomata, tem łacniej i boleśniej upada. Jeszcze nikt ustępstwami ze swoich praw przyrodzonych nie zdobył szacunku ni zysku.

Cierpienie w poniżeniu, gdy jest bezsilne, przemyślne się staje i wielosłowne. Przeto choć rzeczy samej dość na tem, że Polskę w Lidze Narodów przedstawiają Żydzi, myśl poszukuje dalej i zapytuje: któż to jest, z kim Polska układa się i przed kim się korzy? Jakie daje nam rękojmie uczciwości swej i praworządności? Jaki był, jest i będzie stosunek jego do narodów, u których gości? Jaką sam najwyższą konstytucją się rządzi? Skąd i dokąd, po jakiej drodze podąża?

Najdziksze ludy, gdy zawierają przymierze, zasiadają w skupieniu dla wypalenia fajki pokoju. I biada temu, kto w dymie truciznę zdrady przełknie! Teraz ma oto Polska z żydowskiej fajki pociągnąć. Rozumnie i szlachetnie postąpimy, gdy Żydów fajkę najświętszym, boskim ich tytoniem napełnimy, gdy zapalimy ją najczystszym ogniem objektywizmu. Dym, który się stąd dobywa — to z żydowskiego zakonu święte słowa Jehowy, Pana Zastępów, to Duch Praw żydowskich. On nam na wszystko odpowie słowem rzetelnem:

„Strzeż-że się, abyś snać nie stanowił przymierza z obywatelami ziemi onej, do której wnijdziesz... Przetoż ołtarze ich zburzycie, bałwany ich połamiecie i gaje ich święcone wyrąbiecie“. (2 Mojżeszowe XXXIV, 12, 13).

„Ale owszem to im uczyńcie: ołtarze ich poobalacie, a słupy ich pokruszycie, i gaje ich poświęcone wyrąbiecie, a ryte ich bałwany ogniem popalicie. Albowiemeś ty lud święty Panu, Bogu twemu; ciebie obrał Pan, Bóg twój, abyś mu był osobliwym ludem ze wszystkich narodów, które są na ziemi“. (5 Mojż. VII. 5, 6).

„I wytracisz wszystkie narody, które Pan, Bóg twój, poda tobie. Nie sfolguje im oko twoje, ani będziesz chwalił bogów ich, boćby to było sidłem. Jeślibyś rzekł w sercu swem: większe są te narody, niźli ja, jakoż je będę mógł wygnać? Nie bój się ich, ale pilnie pamiętaj na to, co uczynił, Pan, Bóg twój, Faraonowi i wszystkim Egipcjanom“. (5 Mojż. VII, 16, 17, 18).

„I wyniszczy Pan, Bóg twój, narody, narody one przed tobą polekku i potrosze. Nie będziesz ich mógł wytracić prędko, by się snać nie namnożyło przeciw tobie bestyj polnych. I poda je tobie Pan, Bóg twój, i zetrze je starciem wielkiem, aż będą wyniszczeni. A poda króle ich w ręce twoje, i wygubisz imię ich pod niebem. Nie ostoi się żaden przed tobą, aż je wytracisz“. (5 Mojż. VII. 22, 23, 24).

„Zburzycie do szczętu wszystkie miejsca, na których służyli narodowie, które wy posiądziecie... I porozwalacie ołtarze ich i połamiecie słupy ich, gaje też ich poświęcone spalicie ogniem, i bałwany bogów ich porąbiecie, a wygładzicie imię ich z miejsca onego“. (5 Mojż. XII, 2, 3).

„Albowiemeś ludem świętym Panu, Bogu twemu, i obrał cię Pan, abyś mu był za lud osobliwy ze wszystkich narodów, którzy są na obliczu ziemi“. (5 Mojż. XIV, 2).

„Cudzoziemcowi na lichwę dawać możesz, ale bratu twemu na lichwę nie dasz, abyć błogosławił, Pan, Bóg twój, w każdej sprawie, do której ściągniesz rękę twoją w ziemi, do której wnijdziesz, abyś ją posiadł“. (5 Mojż. XXIII. 20).

„Pan, Bóg twój, sam pójdzie przed tobą; On wytraci narody te przed tobą i posiędziesz je“. (5 Mojż XXXI, 3).

„Błogosławionyś ty, Izraelu! Któż podobny tobie? ludu zachowany przez Pana który jest tarczą ratunku twego, a mieczem zacności twojej. Przeto obłudnieć się poddadzą nieprzyjaciele twoi, a ty wyniosłość ich deptać będziesz“. (5 Mojż. XXXIII, 29).

„Bóg jest, który mi zleca pomsty i podbija mi narody“ (Psalm XVIII, 48).

„I pobudują cudzoziemcy mury twoje, a królowie ich służyć ci będą. Naród ten i królestwo, którećby nie służyło, zginie; narody takie, mówię, do szczętu spustoszone będą. Bo ssać będziesz mleko narodów, i piersiami królów karmiona będziesz“... (córo Syjonu). (Izajasz LX, 10, 12, 16).

„Ty mówię, Jakóbie, sługo mój! nie bój się, mówi Pan, bom Ja z tobą. Uczynię, zaiste, koniec wszystkim narodom, do których cię wypędzę, lecz tobie nie uczynię końca, ale miernie karać będę, a cale cię bez karania nie zostawię“. (Jeremjasz XLVI, 28).

„Młotem ty jesteś moim kruszącym, orężem wojennym, abym pokruszył przez cię narody i poburzył przez cię królestwa“. (Jeremiasz LI, 20).

„Wesel się, Izraelu, w Twórcy swoim! Synowie Syjońscy, radujcie się w królu swoim! Chwalcie imię jego na piszczałkach. Na bębnie i na harfie grajcie mu. Albowiem się kocha Pan w ludu swym. Pokornych zbawieniem uwielbia. Radować się będą święci w chwale Bożej, a śpiewać będą w pokojach swych. Wysławiania Boże będą w ustach ich a miecz na obie strony ostry w rękach ich, aby wykonywali pomstę nad poganami, a karali narody; aby wiązali pętami królów ich, a szlachtę ich okowami żelaznemi; aby po-

stąpili z nimi według prawa zapisanego. Tać jest sława wszystkich świętych jego". (Psalm CXLIX, 2—9).

Odpisy tu zebrane są małą cząstką podobnych, w Zakonie Mojżeszowym zawartych, zapowiedzi, wskazań i nakazów. Dotyczą one tak ówczesnej epoki, jak i najdalszej aż do końca świata przyszłości, albowiem powiedziano:

„Żądaj odemnie, a dam ci narody w dziedzictwo twoje, a osiadłość twoją—granice ziemi. Potrzesz ich laską żelazną, a jako naczynie zduńskie pokruszysz ich". (Psalm II, 8, 9).

Tak się złożyło, tak, zresztą, złożyć się musiało, że po długich wiekach oczekiwania, kiedy nareszcie narody wzajem zbliżyły się i postanowiły wspólne zacząć obrady, Żydzi i w tem pokojowem dziele kultury i wolności narodów odnaleźli zapowiedziane przed tysiącami lat wywyższenie się własne i reszty świata pokruszenie. Albowiem powiedziano:

„Postanowiłem przymierze z wybranym moim; przysiągłem Dawidowi, słudze swemu, że aż na wieki utwierdzę nasienie twoje, a zbuduję od narodu do narodu stolicę twoją". (Psalm LXXXIX, 4, 5).

Żydzi nie mogą mieć wątpliwości, że owa stolica od narodu do narodu im przeznaczona, to — Liga Narodów. Dlatego nie postarali się o własne w niej miejsce, jakby to z równych praw wypadało, (a co łatwo uzyskaćby mogli), bo wtedy mieliby tylko jedno w Lidze Narodów, własne przedstawicielstwo. Ale puścili się na burzliwe wody karania, kruszenia i kaleczenia innych, aby mieli sami tyle w Lidze Narodów przedstawicielstw, ile jest na świecie narodów nędznych i niemych.

Wszystko to święte są słowa i Żydów bezwzględnie w postępowaniu ich obowiazują. Zakon mojżeszowy od maleńkości w szkołach uczony, w pamięci, czci i krwi powszechności żydowskiej jest wpojony. On jest świętem źródłem mądrości i prawdy. Z niego nauki swoje snuje Talmud i Szulchan-Aruch, które dla Żydów są najwyższym autorytetem. Możemy zatem spokojnie dopalić fajkę pokoju...

Poczem już z czystem obustronnie sumieniem wiedzy i warunków przymierza, kto łaskaw, może się puścić w taniec radosny, jakoby w dożynki staropolskim zwyczajem, w melodyjny takt następującego przyśpiewu:

„Wszystkie narody klaskajcie rękoma, wykrzykajcie Bogu głosem wesela. Albowiem Pan najwyższy, straszny, jest królem wielkim nad wszystką ziemią. Podbija ludzi pod moc naszą, a narody pod nogi nasze. Obrał nam za dziedzictwo nasze chwałę Jakóba, którego umiłował". (Psalm XLVII, 2 — 5).

Ktoby zaś nie chciał tańczyć, myśląc, że go widzenie Apokalipsy nad grobem ojczyzny postawiło, w kim bije proste serce żołnierza i obywatela, temu żałobę ducha poprzedzi jeszcze szyderczy Żyda policzek. I pójdzie po nocy błąkać się, jak gorejący wśród mogił upiór dumy narodowej. I osądzony od tych, a od tamtych wyśmiany, płonąć będzie samotnie żagwią wstydu niepomszczonego. Aż wstanie na widnokręgu daleki pożar księżyca wschodzącego i okiem milczenia obejmie pustkę wszystkich spraw ludzkich.

ST. PIEŃKOWSKI

PRACA I OPIEKA SPOŁECZNA...

Do artykułu p. Pieńkowskiego dodajemy mały przypisek. W dniu, kiedy „Monitor" głosił światu o mianowaniu p. Sokala delegatem Ligi Narodów, dzienniki warszawskie podały sprawozdanie sądowe ze sprawy, która w przeddzień toczyła się w Sądzie Okręgowym. Prokurator pociągnął do odpowiedzialności red. „Rzeczypospolitej" p. Jasińskiego za to, że dziennik ten znieważył władzę, utrzymując, że w ministerjum pracy i opieki społecznej od ministra do najniższego urzędnika wszyscy zostają pod wpływem bolszewizmu. Mowa była o min. Sokalu. Świadkowie potwierdzili tę opinję faktami. Wymieniono szereg urzędników (Warski, Zdziarski, Siwik, Feinstein), którzy należą jawnie do komunistów, a Feinstein jest już komisarzem w Moskwie. Zeznano, że min. pracy popierało ruch komunistyczny w Zagłębiu Dąbrowskiem. Sąd wobec tego uniewinnił p. Jasińskiego. W świetle tego sprawozdania nominacja p. Sokala na tak bardzo odpowiedzialne stanowisko reprezentanta Polski w Lidze Narodów zrobiła w społeczeństwie bolesne wrażenie.

P. Sokal winien być niezwłocznie cofnięty ze stanowiska, a ministerjum „pracy i opieki społecznej" zniesione. O niebezpieczeństwie, grożącem państwu, pisaliśmy już wtedy, gdy się okazało, że p. Sokal skrócił dzień roboczy na Śląsku i udaremniał tanią produkcję węgla. Wypadki dalsze nie dają na siebie czekać. Oto w stolicy ujawnia się zorganizowany zamach strajkowy. Zaczęło się od telefonów, bo zwykle zaczyna się od dezorgunizacji środków porozumienia, jako największej siły społecznej. Dawniej poczynano od strajku zecerów w prasie, odkąd jednak prasa narodowa zdezorganizowała związek zawodowy drukarzy, powolny zbrodniczym zamachom, zużytkowano telefony, pozostające, jak się pokazało, w ręku kobiet.

Strajk ten stał się skandalem, wysoce kompromitującym władze państwowe, które poszły za wskazówką socjalistów i nie pozwoliły chlebodawcom uporządkować stosunków.

Komuniści pociągnęli tym przykładem pracowników tramwajowych... Pewna część prasy z radością powitała ten nowy cios w życie gospodarcze kraju. Podżega inne związki do solidarnego wystąpienia.

Ilekroć państwu naszemu świtała poprawa stosunków finansowych, zawsze jakaś tajemnicza ręka brała się do ich mącenia bądź za pomocą paniki giełdowej, bądź—jak teraz—strajków. Płyną do Polski jakiemiś kanalikami cudze pieniądze na pracę wywrotową, ale od takich wpływów bilans polityczny Polski nie stanie się aktywny.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Dyskusja w parlamencie francuskim nad projektami Doumera. — Zainteresowanie nią opinji. — Nasza ignorancja. — Przemówienie min. Zdziechowskiego. — Konieczność dalszych oszczędności. — Stosunki handlowe z Niemcami i Rosją. — Polak prezesem Rady miejskiej w Kownie.

JUŻ w r. 1832, formułując swe wrażenia o „francuskiej izbie deputatów", stwierdzał Mickiewicz, że apatja, znudzenie, panujące wśród posłów, znikają natychmiast, gdy:

„...minister skarbu, jakby z drągiem.
Wbiega z ogromnym budżetu wyciągiem,
Zaczyna mieszać mową o procentach,
O cłach, opłatach, stemplach, remanentach"...

Wówczas dopiero, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej:

„Izba wre, huczy i kipi i pryska"..

To zainteresowanie parlamentu francuskiego dla zagadnień finansowych do dziś nie straciło na sile. Gdy się czyta obszerne sprawozdania prasy francuskiej o rozpoczętej właśnie wielkiej dyskusji nad projektami sanacyjnemi min. Doumera, gdy się widzi, jak dokładnie poszczególne stronnictwa omawiają i określają swój stosunek do drugorzędnych nawet punktów planu reformy, jasnem się staje, że rozprawom parlamentarnym przysłu-

chują się z zainteresowaniem szerokie koła opinji, wdrożonej oddawna do zajmowania się tego rodzaju sprawami i rozumienia się na nich.

U nas inaczej. Znajomość spraw skarbowych i w sejmie i w społeczeństwie jest minimalna i ta własnie całkowita ignorancja tłumaczyć może jedynie egoistyczne wystąpienia poszczególnych grup, związków zawodowych i t. p., gdyby bowiem wystąpienia te czynione były z pełną świadomością położenia, trzeba byłoby uznać je wprost za zbrodnicze. To też prawdziwą zasługą obecnego ministra skarbu, p. Zdziechowskiego jest jasne i szczere przedstawianie społeczeństwu istotnego stanu finansów Rzplitej. Ten charakter, podobnie jak wystąpienia poprzednie, miało również ostatnie przemówienie min. Zdziechowskiego na komisji budżetowej sejmu dnia 28 stycznia r. b. Minister skarbu stwierdził, że drogą oszczędności (zwłaszcza w dziedzinie wydatków na wojsko i oświatę) udało się zmniejszyć wydatki na r. 1926 do sumy 1.730 miljonów złotych, ponieważ jednak przewidywane dochody nie osiągną sumy 1.530 miljonów złotych, konieczne jest dalsze zmniejszenie wydatków o zgórą 200 miljonów. Około 72 miljonów zamierza min. Zdziechowski zaoszczędzić przez reorganizację przedsiębiorstw państwowych, zwłaszcza kolei, reszta zaś, to jest około 130 miljonów, może być osiągnięta jedynie przez zmianę ustaw o uposażeniu urzędników, ustalenie wysokości płac urzędniczych i ich zmniejszenie. Innego sposobu niema i niema tu miejsca na jakąkolwiek demagogję ze strony organizacyj urzędniczych czy stronnictw. Ale właśnie dlatego koniecznym warunkiem powodzenia planu naprawy jest nie zwiększanie, a przeciwnie zmniejszenie drożyzny i uchronienie życia gospodarczego od grożących rozszerzeniem się obecnego kryzysu zaburzeń. Jak określić w tych warunkach działalność związków zawodowych i stronnictw, organizujących strajki pod hasłem podwyżki płac wśród najlepiej właśnie uposażonych kategoryj pracowników i to w dodatku pracowników instytucyj użyteczności publicznej?

Rokowania handlowe z Niemcami posuwają się żółwim krokiem i nic nie zapowiada przyśpieszenia dalszego ich biegu. Mnożą się natomiast zapowiedzi ożywienia stosunków gospodarczych polsko-rosyjskich. Jedną z nich jest otwarcie dnia 31-go z. m. izby handlowej polsko-rosyjskiej w Warszawie. Przemówienia, wygłoszone przy tej okazji przez ministra przemysłu i handlu p. Osieckiego i posła S. S. S. R. p. Wojkowa, stwierdziły raz jeszcze, jak dalece realna potrzeba współpracy łączy oba narody, jednakowo zainteresowane w trwałości swego pokojowego współżycia.

Z Kowna nadeszła pomyślna wiadomość o ponownym wyborze na prezesa rady miejskiej Polaka, tym razem p. Syrunowicza (poprzednikiem jego był p. Janczewski). Polak prezesem rady miejskiej w stolicy Litwy, to w każdym razie niezła odpowiedź na pretensje litewskie do... Wilna. Ale, przedewszystkiem, jakiż to wspaniały dowód naszej żywotności i naszych praw na Żmudzi, w ziemi kowieńskiej, dziś, tak jak od lat pięciuset, każdemu sercu polskiemu równie blizkiej i drogiej...

IGN.

NAUKA I LITERATURA

BASTJON POLSKOŚCI

ZNANE wiersze: „Cudze chwalicie, swego nie znacie“— tylekroć stosowane do naszego narodu, wciąż jeszcze zawierają gorzką prawdę; atoli i w tej regule należy uczynić poważny wyjątek. Albowiem nie miałby słuszności, ktoby podobne słowa chciał rzec o Wielkopolanach. Oni, prowadząc nieugiętą walkę o każdą piędź ziemi, o każde słowo polskie, nauczyli się cenić to, co swoje, a wyodrębniając się usilnie z zalewającej ich fali obcoplemieńczej, przywykli samem prawem kontrastu wyraziście spostrzegać i poznawać swoiste i wartościowe cechy narodowe. Stąd się w nich wzięła ta duma, którą przybysze z Mazowsza lub Małopolski często poczytują za zarozumialstwo lub partykularyzm. Całkiem niewłaściwie. Wielkopolanie mają prawo chwalić to, co swoje, co wartościowe i na czem naprawdę się znają. W chwalbach tych, jakie zdarzyło mi sie niejednokrotnie spotkać na łamach pism poznańskich, niema żadnego frazesu, żadnej blagi — jeno same fakta, szczera ufność, że dana praca, dane przedsięwzięcia są naprawdę owocne.

Takie refleksje nasunęły mi się, gdym przeczytał pięknie wydaną książkę Czesława Kędzierskiego „Teatr Polski w ogrodzie Potockiego w Poznaniu 1875—1925“ *). Nawet gdybym nie znał nazwiska autora, zasłużonego wydawcy „Bibljoteki Laureatów Nobla“, jużbym z pierwszych słów poznał, że książkę tę napisał poznańczyk. Poznałbym nietylko z gorącego uczucia patrjotycznego, jakie całą książkę ożywia, ale i ze sposobu wyrażenia tych uczuć. Poznańczycy, ekonomiści w życiu, mają zmysł ekonomji i w słowach; zresztą w prześladowaniach za mowę ojczystą nauczyli się cenić jej wartość i dlatego nie lubią trwonić nadaremnie ani jednego wyrazu. Książka Kędzierskiego ma właśnie tę zaletę; nic tu nie można usunąć, każde słowo jest potrzebne, każde słowo — to fakt, to rzetelny czyn. Trudno więc byłoby streścić tę książkę — powinno się czytać ją w całości. Lektura ta da wiele radości każdemu, kogo zaciekawiają dzieje kultury polskiej; dla historyka jest to wprost kopalnia szczegółów. A jednak sam autor uważa swe dziełko jedynie za tymczasowy zarys, bo obecnie pracuje właśnie nad obszerną i gruntowną monografją, opartą na źródłach archiwalnych. Urywki tej pracy, rzucające światło na tajniki cenzury pruskiej i szpiegowskiego nadzoru policyjnego, ukazały się niedawno w obszernym numerze „Knrjera Poznańskiego“, poświęconym pięćdziesięcioleciu teatru poznańskiego.

Dla orjentacji wyjmuję z książki Kędzierskiego parę dat: teatrem zajmował się Poznań żywo jeszcze od czasów Bogusławskiego, który sam będąc wielkopolaninem, nieraz zjeżdżał w strony rodzinne, lecz idea założenia stałego teatru wyłoniła się dopiero w r. 1843, realne zaś kształty zyskać mogła dopiero po r. 1869, dzięki zmianom w ustawach pruskich; hojne datki, składane nawet przez najuboższych, pozwoliły już w r. 1873 na założenie kamienia węgielnego teatru w ogrodzie, ofiarowanym bezinteresownie na ten cel przez Bol. Potockiego, a w 1875 r. (dn. 25 września) teatr otwarto prologiem Kościelskiego oraz przedstawieniem „Wąsów i peruki“. Z szeregu dyrektorów wspomnieć należy zwłaszcza Rygiera (1896—1907), za którego teatr doszedł do niebywałej świetności, jednocząc w swym zespole głośnych dziś artystów (Adwentowicz, Bednarczyk, Jaracz, Osterwa, Jun.-Stępowski, Szczurkiewicz, Ryll); po wojnie światowej, za rządów Żelazowskiego i Szczurkiewicza nastąpił drugi okres świetności, tak, iż teatr poznański słusznie zaliczono do najlepszych w Polsce.

Obok tej palmy ma drugą, bodaj jeszcze świetniejszą. Przytoczmy słowa Kędzierskiego: „Gdy zewsząd godzono w nas pociskami, siejącemi spustoszenie i zagładę, gdy gwałcono prawa polskie do kazalnicy kościelnej, gdy język polski wydzierano naszym dzieciom, gdy z pod stóp wyrywano ziemię ojczystą—Teatr Polski trwał, jako bastjon polskości niezwyciężonej na zachodniej rubieży, krzepiąc społeczeństwo potęgą słowa polskiego“.

Jak to polskie, z trudem zdobywane słowo, ukochane było i cenione wśród tych, którzy niedawno z takim szczerym entuzjazmem święcili złote gody swego teatru—Teatru

*) Nakład S. A. Teatr Polski w ogrodzie Potockiego. Poznań 1925.

prawdziwie Polskiego — niech świadczy maluchny przykładzik, wyjęty z książki omawianej. Wśród wdowich groszy, składanych przed laty pięćdziesięciu na budowę rzeczonego teatru, znalazła się ofiara „za użycie wyrazu *Insterburg* zamiast *Wystruć*"; było to w czasach, gdy władze pruskie zabraniały pod karą używania polskich nazw geograficznych. Czyż dziś pośpieszyliby z taką ofiarą ludzie, którzy o geografji całej Polski, poza swojem miastem rodzinnem, nader mętne mają pojęcie?... A jakże ich wielu!...

JÓZEF BIRKENMAJER

UCIEKŁA PRZEPIÓRECZKA.

„Przepióreczka" Żeromskiego dała początek literaturze krytycznej. Z broszurą prof. Borowego wiąże się teraz nowa: Jerzego Eug. Płomieńskiego „Problemat pracy w Przepióreczce" (refleksje krytyczno-polemiczne). Autor, posługując się całym aparatem polskiej filozofji pracy (Norwid, Brzozowski), dochodzi pracowicie do wniosku, że bohater sztuki Przełęcki jest bankrutem pracy. Jego klęska jest zarazem triumfem „Regjonalizmu". Przełęcki jest romantykiem, apostatą pracy, los jego będzie marny i t. d.

Autor broszury utrzymuje, że nietylko krytycy, ale — ba — sam Żeromski nie poznał się na Przełęckim. „W solidarności Ż. z Przełęckim tkwi przykra pomyłka, zrodzona z błędnych założeń psychologicznych i estetycznych".

Jest coś zabobonnego w krytyce najmłodszych, jakaś skłonność przypisywania samodzielnego życia bohaterom, skłonność przytem do talmudycznego werbalizmu. Tak np. „regjonalizm"—to także coś żyjącego: Żeromski—powiada krytyk—się myli, że Przełęcki jest wyrazem polskiego regionalizmu. I z jaką pasją mówi się o tym Przełęckim! Ten stosunek do figury na scenie przypomina czasy, kiedy z taką pasją przejmowano się losem bohaterów na scenie, że ten i ów z publiczności „szył" z łuku do czarnego charakteru.

A gdzież Żeromski? Skoro się solidaryzował z Przełęckim, to należałoby wyrozumieć, czego chciał. Jedyną osobą żywą w książce jest autor. Czy poeta, szukający w dziełach rozwiązania niepokojących duszę zagadnień, nie miał istotnie nic ważniejszego do rozwiązania ponad pojęcie „regjonalizmu" albo „męczeństwa" pracy? A może Żeromski chciał przedstawić poprostu, jak w „Przedwiośniu", dramat współczesny słabszych umysłów, które zwątpiły o swojej cywilizacji, pociągnięte ideą przewrotu? Nie mamy potrzeby utrzymywać, że z bohaterem tutaj się solidaryzował, ale to pewna, że taki dramat mógł nurtować jego wyobraźnię. Czemże wobec tego jest dramat „regjonalizmu", któremu się ktoś sprzeniewierzył.

Gdyby krytycy chcieli w utworze szukać autora, nie zaś swoich przysłów, toby się zastanowili nad powiedzeniem końcowem Przełęckiego: „Mówię wam: ci, co tu przyjdą i zaczną wydawać rozporządzenia pod grozą krwawego topora, będą wiedzieli, czy wskrzesić Porębiany, czy nie. Będą mieli środki po temu. Nie będą czekali na kaprys łaski, a dłonią, z której będzie ściekała krew, zduszą kaprys niełaski". Przestał wierzyć w dawny system cywilizowania przez sfery górne. Przyszłość zbuduje sobie sam lud pod wodzą Smogoniów.

Słabą stroną dzieła Żeromskiego jest to, że sam się ocenzurował, nie mając odwagi wyrazić myśli jasno, może z obawy pomówienia o zamiar propagandy tej strasznej idei, ile że w całej sztuce traktował Przełęckiego z sympatją (solidarnie). Rzecz dziwna, że krytyka uporczywie tych słów Przełęckiego nie może się doczytać, pomija je, jakby nie były kluczem dramatu.

Wspomnieliśmy o werbalizmie, zastępującym brak myśli realnej. Autor broszury mówi płomiennie o „męczeństwie" pracy. „Przełęcki to nie męczennik pracy; u nas byli męczennikami pracy: Konarski, Wybicki, Staszic, Szczepanowski, Korzon"... „Rasowym (?) męczennikiem (?) pracy był Balzak, pracujący 18 godzin dziennie"... Skąd to przyszło do głowy? Nie dojdziemy nigdy w Polsce do porządnej kultury, jeżeli każde spełnienie obowiązku będziemy nazywali bohaterstwem, a pracę męczeństwem. Trzeba być „rasowym" próżniakiem, żeby taką legendę dokoła pracy stwarzać. Mniej wielkich słów, więcej myśli. To także praca, ale piszącemu przystoi takie „męczeństwo".

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Nakładem księgarni Z. Pomarańskiego w Zamościu ukazała się książka p. Antoniego Wysockiego p. t. „Zabawy mędrców" Z talentem i szczególną znajomością literatury religijnej średniowiecza i odrodzenia kreśli autor obrazki stosunków i dysput księży profesorów z żakami w Akademji krakowskiej za Zygmunta Augusta. Obrazki te jednak wyglądają niewyraźnie, jak widoki dna czystej wody lub przedmioty w mgle. „Mędrcy" nie mają rysów mocno odznaczonych, przesuwają się po kartach książki jak cienie, niezawsze w kształtach realnych, lecz fantastycznych; ich zaś „zabawy" dydaktyczne nie posiadają należytych osi obrotowych. Nawet najlepsza rozmowa rektora Akademji z jej wychowańcem, chociaż przetkana obficie erudycją i złotemi nićmi djalektyki, chociaż przeciwstawia starego łacinnika i teologa młodemu wyznawcy czci dla języka narodowego i swobody myśli, nie ukazuje wyraźnie określonych umysłów i charakterów. Pomimo to talent zajmuje a miejscami olśniewa.

*

„Książnica Atlas" wydała bardzo ciekawą tekę p. t. „Nieznany cykl Artura Grottgera—Warszawa II" złożony z siedmiu odbitek z siedmiu rysunków Grottgera, niedawno przypadkiem odnalezionych przez dwie Polki w jednem z muzeów Londynu. O istnieniu tego cyklu dawno było wiadomo, lecz celowe poszukiwania go, przedsiębrane między innemi przez znanego estetyka Bołoza-Antoniewicza, nie dawały wyniku.

Cykl poprzedza gruntownie opracowana, jasna i świetnie napisana monografja pióra p. Mieczysława Tretera. Jego też staraniem dzieło to zostało wydane. W samej monografji zamieszczono liczne rysunki Grottgera, z których kompozycja „W oknie" odznacza się nadzwyczajną siłą wyrazu. Rzecz cała wydana z wielkim gustem graficznym, a nizka stosunkowo cena sprzedażna czyni ją przystępną dla zubożałej naszej inteligencji.

*

Nakładem „Bibljoteki Medyckiej" ukazała się archaizowana opowieść p. t. „Jagnieszka, przez A. i M. Mediceusów a to jest Pseudonymów malowana i pisana". Jest to graficzne, malarskie i literackie naśladownictwo odpowiednich wydawnictw średniowiecznych z zastosowaniem techniki nowożytnej. Archaizowanie literackie nie zawsze szczęśliwe, bo nie trzyma się jednej epoki i jednego stylu, ale czerpie ze wszystkich. Natomiast ilustracje objawiają talent nieposledni, szczególnie w bogactwie wyrazów psychologicznych.

Wydawnictwo to jest jednym z przejawów zmęczenia się współczesną mechanizacją życia i konieczności nawrotu do indywidualnego traktowania książki, jako tworu rękodzielniczego. Format, papier, druk, inicjały, układ, cała wogóle strona graficzna książki jest w tym samym stopniu dziełem autorów, jak pomysł literacki i oryginał malarski. Tylko, że to wszystko robi się na maszynach. Miejmy nadzieję, że po naśladownictwach stylu przyjdą prace twórcze, którym maszyna nowożytna tem chętniej będzie usługiwała.

U SŁOWIAN

Najznakomitszy archeolog czeski, światowej sławy badacz, prof. Lubor Niederle, którego sześćdziesięciolecie święciły niedawno szerokie koła uczonych słowiańskich, wydał ostatnio zakończenie swego znakomitego dzieła o starożytnościach słowiańskich *(Slovanské starozitnosti, Oddíl kulturni: Život starych Slovanu, d. III, sv. 2)* Po kolei traktuje prof. Niederle o stosunkach handlowych, wojskowych, sztuce, charakterze Słowian przedchrześcijańskich; wbrew tradycyjnym poglądom, określa Słowian jako równie mściwych, zawziętych i do najazdu skorych, jak Germanie — zaznacza jednak, iż posiadali mniej zwierzęcości w charakterze. Ciekawy jest zwłaszcza rozdział I, w którym na podstawie odkryć stwierdza autor kolejne zmienianie się wpływów kulturalnych ludów starożytności na Słowian,

*

Konstytucja królestwa SHS (t. zw. „*vidovdanski ustav*") została wszechstronnie opracowana w wydanem w r. z. w Białogrodzie dziele prawnika serbskiego Slobadana Jovanovica *(„Ustawno pravo kraljevina Srba, Hrvata i Slovenaca")*. Autor stwierdza charakter konstytucji, jako aktu kładącego podwaliny ściśle jednolitego państwa jugosłowiańskiego. Debaty i walki parlamentarne, poprzedzające uchwalenie konstytucji, są scharakteryzowane doskonale. Autor nie odnosi się życzliwie do opozycji republikańsko-federatywnej, stojąc na gruncie obecnego monarchiczno-centralistycznego charakteru państwa.

*

Historyk bułgarski N. Stanew opracował i wydał z końcem r. 1925 „Najnowszą historję Bułgarji" *(Najnowa istorija na Bołgarija,* Sofja 1925). Dzieło to dzieli się na dwa tomy, z których pierwszy obejmuje lata 1878 — 1912, drugi obie wojny bałkańskie, wojnę światową i lata następne do r. 1923. Tragedja narodu bułgarskiego podstępnie wepchniętego do bratobójczej wojny w r. 1915 przez cara Ferdynanda i jego zausznika Radosławowa, przedstawiona jest w nader żywy sposób. Dezorganizację i upadek frontu we wrześniu i październiku 1918 r. przypisuje autor dwulicowości Niemców, którym ponadto czyni wyrzuty z powodu nieprzyłączenia całej Dobrudży do Bułgarji w pokoju bukareszteńskim. P. M. Stanew z sympatją odnosi się do partji demokratów bułg., o agrarjuszach zaś Stambolińskiego pisze z ironją.

*

Listopadowy numer (7 — 8) praskiego *„Slowanskego Prehledu"* przynosi m. in. piękny artykuł p. A. Cernego o zmar-

łym poecie czeskim, naszym gorącym przyjacielu Fr. Kvapilu. Dowiadujemy się stamtąd, że zmarły pozostawił w rękopisie tom szkiców z literatury polskiej p. t. „*Modre ostrovy*“ (Błękitne wyspy). Są tam zebrane razem szkice, pojedyńczo dawniej już drukowane: O Juljuszu Słowackim (z dołączonym przekładem „Mojego testamentu“). — Grób Agamemnona (przekład).— Z kwiecia romantyzmu: I Maryla (z urywkami przekładów z „Dziadów“), II Lilla Weneda, III Orlika (z „Zamku kaniowskiego“), IV „Zachwycenie“ Lenartowicza.—Duma o Wacławie Rzewuskim (ostatni przekład Kv.). — Ostatni z plejady romantyków (K. Ujejski).—Szukanie nowych dróg: I Leonard Sowiński, II Adam Asnyk. W przedmowie pisze Kv., że praca jego jest „podziękowaniem za wszystkie radosne i drogie chwile, które przynieśli mu wielcy mistrzowie polskiej poezji“. Wydaniem rękopisu ma się zająć redaktor „Slov. Prehl.“ Adolf Cerny.

*

Rzymskie czasopismo „*L'Europa Orientale*“ nr. 3 przynosi szczegółowe omówienie konkordatu Polski z Watykanem, przez A. Gianniniego, następnie szkic dziejów literatury bułgarskiej przez B. Angełowa i studjum A. Stoiłowa p. t. „Folklor bułgarski w literaturze zagranicznej“. Pozatem szereg uwag, recenzyj etc. oraz przegląd polityczny.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Zmarły niedawno w Paryżu, znany pisarz francuski, René Boylesve, pozostawił bogatą spuściznę literacką, na którą składają się charakterystyczne utwory, jak: „*Le parfum des Iles Borromees*“, „*L. Enfant à la Balustrade*“, „*La Becquée*“, „*Mademoiselle Cloque*“, „*Leçon d'amour dans un parc*“, „*Jeune fille bien elevée*“, „*Madeleine, jeune femme*“, „*Mon amour*“ i kilka innych. René Boylesve pochodził z przepięknej prowincji francuskiej, jaką jest Touraine, z jej też obrazów i z jej życia czerpał najczęściej natchnienia do swych powieści. W młodości należał do grupy młodych pisarzy, współpracujących w znanym w swoim czasie miesięczniku symbolicznym „*L'Ermitage*“. Z biegiem lat usunął się od wszelkich koteryj, pracując zdala od gwarów i sporów młodego pokolenia i nie mieszając się do konfliktów i przewrotów literackich współczesnej doby. René Boylesve posiadał usposobienie samotnika, duszę wrażliwą na smutek i na piękno: te cechy odnajdujemy też w jego powieściach, w których z prawdziwem zrozumieniem odmalowuje życie prowincji, jego szarzyznę, jego radości i troski.

Literatura francuska straciła w René Boylesve pisarza, którego jedną z zasadniczych cech była wytworność myśli i stylu, prawdziwie francuska, pozbawiona sztucznych akcentów, oparta na szczerem umiłowaniu tego, co piękne i szlachetne.

*

Wydawnictwo pod tytułem „*Le Conciliabule des Trente*“ (Au Sans Pareil), przygotowywane przez znanego pisarza p. Martin Chauffier będzie miało na celu przedstawienie i oświetlenie prądów i pojęć współczesnej doby, zdefinjowanie jakgdyby psychologji człowieka XX-go wieku. Kolekcja składać się będzie z 30 tomów, pióra wybitnych pisarzy, jak: Martin Chauffier, André Gide, Jacques de Lacretelle, François Mauriac, Jean Schlumberger, Henri Massis, André Maurois, Jean Paulhan, Pierre Bost, Gabriel Marcel, Jean Prevost, Schwob, Jean-Louis Vaudoyer i innych. Już samo zestawienie nazwisk tych pisarzy, przedstawiających prawie krańcowo różne kierunki, świadczy najlepiej, że zbiór tych utworów będzie nadzwyczaj ciekawą mozajką światopoglądów współczesnych literatów.

*

P. Etienne Rey, którego książka „*De l'Amour*“ (Grasset editeur), pełna prawdy i zgryźliwej ironji, cieszyła się wielkiem powodzeniem, publikuje obecnie w ciekawym zbiorze „*Eloges*“ (Hachette), godną uwagi pracę p. t. „*Eloge du Mensonge*“. Przenikliwy ten pisarz zna dobrze duszę ludzką, to też jego „pochwała kłamstwa“, aczkolwiek paradoksalna, kryje często w sobie wiele prawdy.

*

W ostatnich latach liczni pisarze we Francji zajmowali się rolą, jaką odegrała w życiu Balzac'a pani Hańska. Obecnie, p. Octave Aubry w swojej książce „*Marie Walewska*“ (A. Fayard) usiłuje sprecyzować nietylko rolę uczuciową, jaką w życiu Cesarza Francuzów odegrała ta Polka, ale idzie dalej, wysuwając hypotezę, że gdyby Napoleon nie spotkał był Marji Walewskiej, to prawdopodobnie nie byłoby przyszło do rozwodu z Józefiną, albowiem fakt, że miał z panią Walewską syna, utwierdził go w przekonaniu, że może mieć następcę tronu. P. Aubry przypuszcza też, że Marja Walewska, gdyby chciała, mogła była stać się cesarzową, a w tym wypadku cała polityka Napoleona poszłaby po zupełnie innych torach: nie przyszłoby prawdopodobnie ani do zbliżenia się z Austrją, ani też do kampanji 1812-go roku. Na nieszczęście, Marja Walewska nic w tym kierunku nie uczyniła. A jednak Napoleon, zdaniem p. Aubry, kochał ją bardziej od wszystkich innych kobiet, bardziej od Józefiny i byłby niewątpliwie uczynił z niej swą żonę. Młoda jednak Polka, pełna bezinteresownego oddania, wolała pozostać w cieniu, ale wierna pamięci Napoleona do ostatniej chwili. Hypoteza p. Aubry opiera się bardziej może na przesłankach sentymentalnych, aniżeli na historji. Niemniej jednak nakreślił on ciekawy obraz perypetyj miłosnych wielkiego Cesarza.

TEATR

FAUST

FALĘ teatralnego ruchu modernistycznego teatr Narodowy przetrącił „Faustem“ Goethego tak, jak poprzednio „Don Żuanem“ Zorilli. Perturbacje takie w atmosferze artystycznej są potrzebne. Każde pokolenie musi mierzyć się nanowo z arcydziełami wiecznie żywemi, aby znaleźć dla siebie miejsce w pochodzie myśli artystycznej. Nowy przekład „Fausta“, dokonany przez wybitnego poetę Emila Zegadłowicza, był śmiałą i zwycięską próbą zmierzenia się naszego wieku ze starym humanistą niemieckim na polu literackiem; teatr, biorąc ten przekład za okazję, pokazał co może w swojej dziedzinie.

Próby przekładu Zegadłowicza znane są czytelnikom z dwu urywków, z których jeden dajemy w tym zeszycie. Pierwszy raz — każdy to przyzna — można „Fausta“ czytać z upodobaniem i deklamować. Stał się soczysty i śpiewny, a znawcy utrzymują, że jest doskonały, jako zrozumienie myśli Goethego. Pedanci filolodzy, jak słyszę, zarzucają, że przekład nie jest „dosłowny“, ale dosłowność byłaby wadą przekładu poetyckiego. Praca Zegadłowicza da się ocenić w książce, która napewno się ukaże. Teatr wystawił tylko mocno skrócony pierwszy fragment dzieła, a Zegadłowicz przełożył obie części. I to będzie dopiero prawdziwy „Faust“. Teatr wystawia prolog i długi wstęp, aby rzecz zamknąć romansem nieszczęsnej Małgosi. Całość nieznana jest publiczności, a przeto i owe założenia początkowe zbyt ciężko ten wątek dramatu obarczają.

Byłoby rzeczą pretensonalną poruszać w notatce znaczenie dziejowe zjawiska literackiego, jakiem jest „Faust“, zwłaszcza bez wylegitymowania się ze studjów.

Wypowiem tylko refleksję z wrażeń, osiągniętych w teatrze, że z owych prób mierzenia sił na arcydziełach obcych sztuka polska najwięcej będzie miała zawsze kłopotu z genjuszem niemieckim. Słuchając „Fausta“, nawet oper Wagnera, mam wrażenie, że umysł niemiecki nie może się zdecydować na czyn istotnie artystyczny, mający za punkt wyjścia wzruszenie czysto estetyczne. Zbyt wiele wymaga od sztuki, nadużywa jej, przeciąża ją zadaniami ponad kompetencję. O ile filozoficzne motywy o podkładzie uczuciowym (społeczne, narodowe, zwłaszcza religijne: Dziady, Don-Juan) idą na rękę poecie przy rozwiązywaniu zagadnień artystycznych, o tyle konstrukcje myślowe choćby na tematy poetyckie, ale mające na celu poznawanie, stanowią w poezji dystrakcję, obniżającą temperaturę sztuki. Goethe był przyrodnikiem, któremu się trafił czas humanizmu i wielkich widzeń poetyckich z odpowiednią filozofją. Ambicję poznania tajemnicy wszechstworzenia uznał za możliwe zaspokoić przy pomocy sztuki. Metodą naukową o ten cel się nie kusił, zbyt metodycznym był przyrodnikiem; ale duch czasu wytłumaczył mu, że drogą intuicji artystycznej można dojść do bezpośredniego poznania prawdy. Wprzągł tedy sztukę do rydwanu nauki, nadużył jej dla celów poznania. Opłaciło się to sztuce, bo miał talent, ale to się musiało zemścić: Faust jest popularny dzięki Gounodowi, bo tęsknotę do poznania bezpośredniego łatwiej wyśpiewać, niż wyrezonować. Wszystkie przeto motywy, nawet miłosne, wydają się w tem świetle doświadczeniem fizykalnem, motyw zaś Boga nie jest religijny, ale teologiczny. Radość poety płynie z zaspokojonej ambicji poznania monistycznego, a wtedy woła do Boga:

> Szeregom przemian nakazałeś oto,
> Aby przed wzrokiem mem przeszły w pochodzie
> I pozwoliłeś, bym ducha tęsknotą
> Poznał mych bliźnich w krzach, ogniu i wodzie...

Stąd, zdaje się, płyną trudności dramatu, nie tylko obniżenie temperatury przez wybitny udział refleksji. Dusza,

żeby była dramatyczna, musi być wydobyta z wszechświata i jemu przeciwstawiona, jako udzielność moralna. Na takiej duszy budowany jest dramat klasyczny i nasz. Determinizm przyrodniczy wadzi naszemu poczuciu humanistycznemu.

Trudno się dziwić, iż ten sam artysta, który grał bohatera Zorilli (p. Węgrzyn) całą duszą, tutaj, jako Don-Juan-Faust, załamywał się, rozdwajając się na intelektualistę filozofującego i człowieka, który pragnie żyć. Mefista można grać, jak się komu podoba, bo to rzecz fantazji, jak kto sobie djabła wyobrazi: najgroźniejszy, kiedy śpiewa basem, albo robi filozofa relatywistę. P. Leszczyński był z djabłów wesołych, nie chciał być groźnym. Małgosia p. Niedzielskiej, na której Goethe eksperymentował, zdobyła sere publiczności niewspółmiernością swych sił do ataku, jakiego na nią dokonały wielkie prawa Natury pod wodzą Złego Ducha.

Całość przedstawienia wypadła wspaniale. Teatr Narodowy spełnił sumiennie obowiązek wobec repertuaru, który musi mieć wielkie dzieła w coraz nowszej szacie.

Z. W.

CHERUBIN GERMANA

W TEATRZE Letnim wystawiono sztukę Juljusza Germana „Cherubin z piekła". Afisz głosił, że jest to sztuka o dziwnym panu i dziwnej grzesznicy, wyręczając publiczność, która już przywykła niczemu się nie dziwić. German odwrócił „Fausta". Jego Mefisto jest — zdaje się — metodystą, który zeszedł do jaskini apaszów, wydobył stamtąd w zwierzęcym stanie prostytutkę i uczynił z niej skowronka, wzbijającego się radośnie ku słońcu wiekuistego piękna. Zabrał z nią razem parę złodziei i też uszlachetnił. Znalazł na to środek w Sztuce. Aby zaś nie wydało się zbyt dziwnem, obrał gałęź artyzmu możliwie wiarygodną — budą cyrkową. Jeden złodziej udawał małpę, drugi po linie chodził, Cherubin tańczył i bardzo ich to uszlachetniało, ile że buda dawała przedstawienia w głuchym lesie, gdzie nie było publiczności, deprawującej, jak wiadomo, sztukę.

Trudno zaprzeczyć autorowi oryginalności pomysłów — może dziwnych, ale podziwu nie budzących.

Z. W.

NA MARGINESIE

Gdyby „Myśl Narodowa" miała rubrykę na humor, moglibyśmy co tydzień bawić się kabaretem „Wiadomości literackich", gdzie stale tańczy żydowski spryt z aryjską naiwnością. Czasem jednak z zapamiętałych piruetów wyskakują tak jasne iskry wynurzeń autopsychologicznych, że warto tę i ową nie dla śmiechu pochwycić na hubkę wiedzy krytycznej. Taką iskrą błysnął № 5 „Wiad. lit". w wywiadzie z Goethem ghetta warszawskiego p. J. Tuwimem.

Wywiad, naturalnie, od góry do dołu tak banalny i mdły, że można nim wszystkie kurjery świata naoliwić, wszystkie apteki w emetyk zaopatrzyć i jeszcze p. Tuwimowi na toalecie jego sławy zostanie wielkie pudło bezwonnej waseliny. Lecz w jednem miejscu, po arcymądrem zdaniu, że „u Tuwima słowo jest zawsze słowem", wywiadowca przytacza wierszyk poety na potwierdzenie własnych nad nim zachwytów. W wierszyku tli iskra, niby latarka zawieszona w ciemnej krypcie poezji kryptożydowskiej:

„Brzozom siekierą żyły otworzę,
Ciachnę przez ciało, rąbnę przez korzeń,
Lepkiem osoczem brzozy ubroczę,
Na rany białe wargami wskoczę,
Zęby chwytliwe w trzony brzóz wbiję,
Ustami chciwie soki wypiję,
.ywcem z pod kory wyrwę wargami
Rdzeń umęczony pocałunkami
Może te leki z żywego drzewa
Słów mię nauczą, których mi trzeba".

Trudno o dosadniejszą charakterystykę stosunku poety żydowskiego do mowy polskiej. Wściekły na własną bezsilność ciska się, jak kocur solą postrzelony, ciacha, rąbie, skacze, gryzie, drapie, wyrywa — a tu nic... Dusza gaju, jak była, tak jest przed nim zamknięta. Każde zdanie wierszyka przeczy duchowi mowy polskiej, jak zgrzytanie piły po szybie przeczy muzyce.

Można sobie wyobrazić. jak drwiącem okiem boginka gaju — mowa polska patrzy na ten beznadziejny harmider w zdobywaniu słowa... P. Tuwim sobie i poezji kryptożydowskiej wystawił rzetelne świadectwo ubóstwa. Wiadomo. Nietylko wrzask arogancji, ale nawet praca pilna całego życia nie da Żydowi panowania nad mową polską, jak nie da murzynowi skóry białej, a białemu — czarnej. Czyżby zatem nie rozumniej było powrócić do żargonu?

W radzie tej niema ani źdźbła ironji. Kto nieco dalej widzi, ten wie, że z wysiłków poezji kryptożydowskiej w niedalekiej przyszłości zostanie tylko makulatura. Do kultury polskiej nic z niej nie przeniknie. Czy dla tak marnego celu warto poecie duszę gubić i życie własne marnować?

*

Daremnie ludzie mądrzy zalecają ludziom, działającym publicznie, kierowanie są myślą przewodnią z widokiem na dobro całości. Busola ta jest ciągle lekceważona, projekty zaś i postępki bezmyślne ciągle traktowane są jako przyjemnostki chwili bieżącej. Mówiło się tyle razy, że w armji polskiej trzeba coprędzej zatrzeć wszelkie ślady pochodzenia oficerów, owe tradycje pomylonych frontów w czasie wojny, armji rosyjskiej. austryjackiej itp. Na nic się nie przydało, że tę zasadę przyjęło dowództwo i że życie samo owe ślady zaciera. Teraz znowu prasa wojskowa rzuca wesolutki pomysł, aby nad grobem Nieznanego Żołnierza dokonywała się po wieczne czasy nieustanna maskarada, aby warta honorowa przebierała się w rekwizytowe mundury dawnych oddziałów według kalendarza rocznic bitw i potyczek. Trudno o jaskrawszy przykład bezmyślności.

*

Słuchacz uniwersytetu padewskiego, przybysz z Polski, Heiman, wyraził się publicznie w sposób ubliżający o armji włoskiej, co wywołało antypolskie manifestacje miejscowych studentów-faszystów. Uspokojenie nastąpiło dopiero wówczas, gdy ze strony organizacji studentów polskich nadesłane zostało wyjaśnienie że Heiman, acżkolwiek obywatel polski, jest Żydem i jako taki do związku studentów polskich nie należy i młodzieży polskiej w żadnym razie reprezentować nie może.

Jak widać, uchwały wykluczające „studentów wyznania mojżeszowego" z organizacyj polskiej młodzieży akademickiej, okazały się pożyteczne nawet... „ze względu na zagranicę".

*

P. Wasserzug, kreśląc w „Nowym Kurjerze Polskim" własny swój portret, tak pisze: „Nie kładę żadnej maski, bo maskarady w narodzie za dużo. Nie błaznuję „politycznie", nie bawię się w żadne „pożyteczne" kłamstwa, ułudy i fikcje".

Czemuż p. Wasserzug zmienił swe rodowe nazwisko „Wasserzug" na „Wasowski"?

*

Na chmurnem niebie posiadaczów akcyj zaczynają się pojawiać światełka. Tajemnice wykradzione z ksiąg zarządu rozmaitych przedsiębiorstw okazują, że nie jest tak źle, jak by można było wnosić z kursów giełdy. Wprawdzie akcjonarjusze nie otrzymują żadnej dywidendy i tylko posiadają papiery wartości makulatury, ale za to administratorzy otrzymują pełne pensje, i jakie! Tak np. w fabryce „Pocisk", której akcje nie wysoko unoszą się nad zerem, dyrektorzy i ich pomocnicy (według „Dnia") posiadają: Wertheim 120,000 zł. rocznie, Leski 115,000, Janowicz 40,000, Rodziewicz 32,000, Wellisch 20,000, Budziński 21,000, Michaelis 14,000. Pocisk ma bogatą kasę.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu A. O. w P. Nie bardzo to jest w wierszu Pana zrozumiałe, dlaczego Pan się zwraca o pomoc materjalną do Syren w Wiśle: przecież one są same gołe, a teraz ziębnięte. Nie wiadomo co zrobić z tą ideą, a obiecywaniu Syrenom, że Polska szczycić się niemi będzie „jak matka Gracchów swojemi synami", do reszty zbija nas z tropu. Bajka o zwierzęcych rządach nie ma dostatecznej finezji. Drukujemy poezje o tyle, o ile mają wartość artystyczną. Myśli polityczne praktycznie jest wyrażać prozą. Dziękujemy za pamięć.

Panu M. P. w Poznaniu. Tłumaczony przez pana wiersz de Laprade'a ma charakter wyraźnie okolicznościowy. Nadaje się też raczej do dziennika, niż do tygodnika literackiego, zwłaszcza, że jako dokument epoki nie jest nieznany.

Panu S. M. w K. Prenumeratorom, którzy dotąd nie zapłacili za kwartał IV r. ub. wstrzymaliśmy pismo. Jakże Pan może wymagać od nas takiej uprzejmości. Każdy posłany na kredyt egzemplarz, a nie zapłacony, to wydatek gotówkowy, stający się prezentem. Argument, że człowiek, mający zajęcia, nie ma czasu na pamiętanie o zapłaceniu prenumeraty, nie wytrzymałby krytyki nigdzie w świecie cywilizowanym. Wyniosłość wobec tego obowiązku nie zmniejsza obowiązku, a człowieka nie powiększa w naszych oczach, bo płynie ona poprostu z lekceważenia strawy duchowej i jej producentów. Wydawanie pisma jest rzeczą bardzo kosztowną, a kto uważa, że ono jest potrzebne, staje jako prenumerator w rzędzie jego współwydawców, w żadnym zaś razie nie może wymagać, aby było prowadzone bez rachunku. Należy się teraz od Pana zł. 16.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI   Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.